NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro **UNGRA** w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 17 grudnia 1910. Nr. 51.

Napad na katechetę.

(Treść na str. 2).



Nr. 51. „Nowości Illustrowanych" zawiera: Kapłan-wygnaniec w Krakowie. — Zjazd kierowników warsztatów studenckich. — Nowa organizacya rękodzielnicza — Piękny jubileusz. — Zmiana w Kole polskiem. — Trafika w automobilu. — Wieloryb jako posąg. — Pożar gazów podziemnych. — Zgon nestora adwokatów krakowskich. — Udogodnienia pocztowe za granicą. — Nowe ofiary bandytyzmu. — Pościg rabusiów. — Z zabytków austryackiej floty. — Nowy ambasador austryacki w Paryżu. — Wybory w Anglii. — Grób wielkiego pisarza.

Napad na katechetę.

(Do illustracyi tytułowej).

Młodzież ruska w Galicyi ma stanowczo za wiele... temperamentu. Zachowanie się w szkołach, zwłaszcza w gimnazyach ruskich, zupełnie nieodpowiednie, życie poza szkołą niemoralne, rozpolitykowanie na wielką skalę, to wszystko objawy bardzo u niej częste a bardzo niezdrowe, świadczące o potrzebie gruntownej zmiany wychowania najmłodszego pokolenia ruskiego.

Wpływ to i następstwo stosunków, panujących wśród starszego pokolenia Rusinów. Młodzież ruska widząc i ciągle mając przed oczyma nieustanne a namiętne spory partyjne między dwoma odłamami ruskimi, między Ukraińcami a Moskalofilami, przejmuje się tem wszystkiem, zwłaszcza że obie partye szukają nawet wśród młodzieży zwolenników dla swych programów.

Więc wśród młodzieży ruskiej wre ta sama partyjna walka namiętna, co wśród starszego pokolenia, więc na porządku dziennym są spory i zatargi, urozmaicone niejednokrotnie bójkami i brutalnemi zajściami. Bicie szyb w mieszkaniach przeciwników politycznych lub nielubianych profesorów, to wypadki bardzo częste.

O niesłychanem rozwydrzeniu ruskiej młodzieży świadczy zwłaszcza niedawny wypadek, jaki zaszedł przed kilku dniami w gimnazyum w Samborze. Oto były uczeń tego gimnazyum, nazwiskiem Kaczmar, wydalony przed dwoma miesiącami za list, napisany do dyrekcyi zakładu, a zawierający brutalne inwektywy na kierowników szkoły, napadł w czasie przerwy na katechetę gimnazyum ks. Hadzewicza i dwukrotnie uderzył go w głowę pięścią.

Kaczmar jest moskalofilem, wychowankiem bursy im. Kaczkowskiego, a że ks. Hadzewicz należy do partyi ukraińskiej, więc Kaczmar przypuszczał, że wydalenie go z gimnazyum nastąpiło za przyczynieniem się ks. Hadzewicza.

Brutalny napad młokosa na katechetę wywarł nietylko w gimnazyum ale w całem mieście ogólne oburzenie. Sprawcę zajścia aresztowano.

Rycina tytułowa w dzisiejszym numerze przedstawia scenę napadu na korytarzu gimnazyum w Samborze.



Kapłan-wygnaniec w Krakowie: Kościół w Rybińsku, wystawiony tam przez ks Borodzicza.

Nowa organizacya rękodzielnicza.

Dzięki usilnym staraniom krakowskiej izby rękodzielniczej, powołany został do życia związek wyższego rzędu, mianowicie związek powiatowych związków stowarzyszeń rękodzielniczych i przemysłowych w okręgu krakowskiej izby handlowo przemysłowej.

W niedzielę przedpołudniem zjechali się w Krakowie delegaci powiatowych związków w Tarnowie, Rzeszowie i Nowym Sączu, a to pp. Józef Kościołek, Stanisław Michalski, inżynier Józef Szaynoch, Antoni Barowicz, Józef Szybowicz, A. Wójcicki, Edward Koellner, Feliks Dobrowolski i Aleksander Jaśkiewicz, z krakowskiej izby rękodzielniczej pp. Kosobucki, Bialik, Jarra, Iglicki, Wolny, Czernichowski, Repetowski, Werner, Szufa, Lachowski i Kleinhändler, wreszcie ze strony władzy był obecny p. Witold Ostrowski, instruktor przemysłowy. Wszyscy ci członkowie czterech izb rękodzielniczych zachodniej części kraju uchwalili statut wedle referatu p. Ostrowskiego i podpisali jako proponenci, wybierając tymczasowy komitet wykonawczy, złożony z prezesów poszczególnych związków, jednoczących się w Związek wyższego rzędu z radcą Kosobuckim na czele. Komitet ten ma się postarać o zatwierdzenie uchwalonego statutu.

Należy nadmienić, że krajowy Związek wyższego rzędu przyniesie z sobą wielkie korzyści moralne nietylko dla całego zjednoczonego w nim stanu rękodzielniczego, będzie bowiem znakomitą organizacyą dla dwudziesto tysięcznej rzeszy rękodzielników, a takiej organizacyi jeszcze dotychczas nie było, ale także i dla samych miast, gdyż podniesie mieszczaństwo materyalnie i moralnie, da mu możność wywarcia skutecznego wpływu na poprawę losu upadającego stanu rękodzielniczego.

Sam rząd przyszedł już do przekonania, że nie wolno dłużej tego stanu zaniedbywać, więc popiera przemysł drobny, ułatwiając organizacyę cechów i związków. Kraj przychodzi z pomocą materyalną, to też i sami rękodzielnicy muszą o sobie pomyśleć. To też rozumiejąc to delegaci Związków, uchwalili statut chętnie i wszystko, co tylko do utworzenia tej pożytecznej instytucyi okazało się potrzebnem, a w końcu wyrazili inicyatorom nowej organizacyi, pp. Kosobuckiemu i Ostrowskiemu wdzięczność i uznanie za dołożoną pracę.

Szczęść Boże dobrej sprawie!



Kapłan wygnaniec w Krakowie: Ks Józef Borodzicz w otoczeniu grona przyjaciół i znajomych

Pożegnanie dyrektora „Żywnosteńskiej Banki“ we Lwowie.

Pamiętne dni czesko-polskie, zbratanie obu słowiańskich narodowości w czasie gremialnej wycieczki Czechów do Krakowa, Częstochowy i Warszawy, pozostawiły realną pamiątkę w postaci poważnej instytucyi finansowej, mianowicie banku polsko-czeskiego z siedzibą w Warszawie. Bank ten został już otwarty, a na kierownika jego powołany został dyrektor lwowskiej filii „Żywnosteńskiej Banki“, Jerzy Vallenta.

P. Vallenta zdobył sobie w czasie kilkoletniego pobytu we Lwowie i działalności na stanowisku dyrektora filii wielkiej instytucyi finansowej praskiej, ogólną sympatyę i poważanie, zwłaszcza zaś wśród kolonii czeskiej, grupującej się w lwowskiej „Besedzie czeskiej“, cieszył się wielkim mirem. Finansista wybitnych bardzo zdolności, człowiek wielce energiczny i ruchliwy, zapewnił filii „Żywnosteńskiej Banki“ bardzo poważne miejsce wśród lwowskich instytucyi finansowych. Wobec społeczeństwa polskiego odnosił się zawsze z wielką życzliwością i sympatyą.



Nowe ofiary bandytyzmu: Kasyer fabryki „Labor“ w Warszawie Tadeusz Grzybowski.

Z powodu powołania p. Vallenty na dyrektora Banku czesko polskiego do Warszawy, kolonia czeska urządziła uroczyste pożegnanie zasłużonego swego rodaka, a udział w niem wzięli prawie wszyscy wybitni Czesi, przebywający we Lwowie.

Grupę uczestników uroczystego pożegnania przedstawia nasza rycina.

Zjazd kierowników warsztatów studenckich.

Przed kilku laty, w czasie ruchomej wystawy „Ligii pomocy przemysłowej“ w Krakowie, rzucił dyr. „Ligi“ p. Józef Olszewski, piękną myśl zajęcia młodzieży szkół średnich ręczną robotą w osobno do tego celu urządzonych warsztatach. Myśl tę podjął i pierwszy w czyn wprowadził niezapomniany filantrop śp. dr. Henryk Jordan, zakładając w Krakowie 1906 r. pierwsze warsztaty studenckie. W dwa lata później uczyniła to samo „Liga pomocy przemysłowej“ we Lwowie.

Za przykładem obu miast stołecznych poszły wnet inne, myśl bowiem zajęcia pracą warsztatową młodzieży szkolnej, tak mało posiadającej sposobności do pracy fizycznej, przyjęła się niezmiernie szybko w naszem społeczeństwie, do niedawna jeszcze tak bardzo uprzedzonem przeciw zawodom rękodzielniczym i przemysłowym. Dziś istnieją warsztaty studenckie w wielu miastach Galicyi, urządzone z inicyatywy i często z własnych funduszów profesorów.

Kierownicy tych warsztatów postanowili od czasu do czasu odbywać wspólne narady, celem komunikowania sobie wyników własnych doświadczeń i udzielania wzajemnych uwag na temat prowadzenia warsztatów. Pierwszy taki zjazd kierowników warsztatów odbył się w ubiegłym roku, po raz drugi zjechali się oni we Lwowie w ubiegłym tygodniu. Obrady toczyły się w lokalu „Ligi pomocy przemysłowej“ przy ul. Pańskiej.

Prócz kierowników warsztatów przybyło grono poważnych pedagogów i profesorów, między nimi poseł dr. German, wiceprezydent rady szkolnej krajowej dr. Dembowski, radca dworu Baranowski, profesorowie dr. Mańkowski i dr. Twardowski, inspektorowie radcy szkolni Dworski, Stefanowicz i Zaleski, kilku radnych miejskich i przedstawicieli sfer przemysłowo rękodzielniczych.

Obrady zagaił poseł dr. German jako przewodniczący „Związku warsztatów młodzieży szkół średnich w Galicyi“. W przemówieniu swem zaznaczył dr. German, jak pięknie rozwinęła się u nas obywatelska myśl skierowania uwagi i sił młodzieży do pracy fizycznej, podziękował też serdecznie tym wszystkim, którzy przyczynili się do zrealizowania szlachetnego projektu. Z kolei przemówił imieniem rady szkolnej krajowej jej wiceprezydent dr. Dembowski, imieniem „Ligi pomocy przemysłowej“, inicyator warsztatów dyrektor Olszewski i prof. dr. Twardowski, jako prezes towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.



Zjazd kierowników warsztatów studenckich: Uczestnicy zjazdu; w pierwszym rzędzie siedzą od lewej ku prawej: radca dworu Baranowski (X), dalej radca szkolny Dworski, radca dworu Zaleski, wiceprezydent dr. Dembowski, poseł dr. German, prof. dr. Twardowski i dyr. Olszewski.



Nowa organizacya rękodzielnicza: Reprezentanci powiatowych związków rękodzielniczych i przemysłowych oraz krakowskiej izby rękodzielniczej z twórcami związku wyższego rzędu pp. radcą Kosobuckim (1) i instruktorem W. Ostrowskim (2) w pośrodku.

Następnie przystąpił zjazd do obrad merytorycznych, a na program ich złożyły się referaty prof. Błażka z Przemyśla o badaniach nad wychowawczą wartością warsztatów, dra E. Piaseckiego o urządzeniach hygienicznych tych warsztatów, prof. A. Łukasiewicza o rozpowszechnieniu warsztatów studenckich w Galicyi i Królestwie polskiem, p. Orszulskiego z Krakowa o wyposażeniu warsztatów, prof. Sikory o wpływie nauki ogrodnictwa na rozwój intellektualny i fizyczny młodzieży, dyr. Olszewskiego o związku między pracą w warsztatach studenckich a przyszłym rozwojem przemysłu krajowego, wreszcie prof. Paczowskiego z Krakowa o konstrukcyi i celowości jego własnych warsztatów.

Referaty te i dyskusya ożywiona zajęły oba dni narad, a rezultatem ich jest kilka ważnych rezolucyi, uchwalonych w celu dalszego rozwoju i podniesienia warsztatów studenckich.



Zjazd kierowników warsztatów studenckich: Fragment z sali obrad w gmachu „Ligi pomocy przemysłowej" we Lwowie.

Odznaczenie bohaterów.

Po rewolucyi lipcowej 1830 r. rząd francuski z emigrantów politycznych utworzył legion zagraniczny, którego przeznaczeniem było walczyć w Algeryi, w warunkach nader ciężkich, gdzie na każdym kroku groziło niebezpieczeństwo. Początkowo składał się on głównie z Włochów, Niemców i Hiszpanów. Pod koniec roku 1831 liczba jego żołnierzy urosła z 2000 do ·000, a najwięcej należało do niego Polaków. W r. 1835 odstąpiony przez Francyę Hiszpanii bił się znakomicie, ale przez rząd był tak zaniedbany, że bez żołdu, odzieży i żywności zeszczupłał do 300 ludzi, którym nareszcie pozwolono powrócić do Francyi. W Algeryi tymczasem utworzono legion zagraniczny, który odznaczył się w wielu bitwach. Po wstąpieniu na tron Napoleona III podzielony był na dwa pułki zagraniczne.

Obecnie istniejąca legia cudzoziemska składa się z najrozmaitszych narodowości. Głównym terenem jej działania jest Alger.

Między żołnierzami legii znajduje się niejednokrotnie wielu bohaterów, którzy dla obcego kraju narażają swe zdrowie i życie, nieraz dzikie pustynie są widownią takiego bohaterstwa i poświęcenia, które zasłużyć sobie musi na publiczne uznanie i nagrodę.



Nowe ofiary bandytyzmu: Pomocnik kasyera Czesł. Tymiński.

Przed kilku tygodniami odbyła się w Casablance uroczystość wręczenia wojskowych medali zasługi jednemu legioniście i czterem tubylcom, należącym także do szeregów francuskiej armii afrykańskiej; odznaczyli się oni w czasie ubiegłego lata podczas walk w Marokku, każdy z nich prawie odniósł na polu bitwy mniej lub więcej ciężkie okaleczenia. W nagrodę męstwa udekorowano ich piersi wojskowymi medalami zasługi, a ceremonii dopełnił w imieniu prezydenta republiki jenerał Moinier.

Tę właśnie chwilę uroczystą przedstawia zamieszczona w niniejszym numerze illustracya.



Piękny jubileusz: Ferdynand Majerski, prezes wydziału nadzorczego Kasy Zaliczkowej w Przemyślu, w gronie uczestników obchodu.

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącemi sosnami.

KSIĘGA I.

DYM.

3

Podniosłem się, chwiejąc się na nogach. Zrozumiałem, że on nie chce ani na chwilę zostawić mnie samego. I ja sam tego nie pragnąłem. Lepsze jakiebądź towarzystwo, niż samotność z własnemi myślami i z tą bladą, nieruchomą twarzą...

Wchodząc za Hexfordem do tej garderóbki, nacisnąłem guzik elektryczny lampy. W tem jasnem świetle ujrzeliśmy od pierwszego spojrzenia płaszcz jej i kapelusz, leżący w kącie na podłodze, obok przewróconego krzesła.

— To dobrze! — rzekł Hexford. — Czy poznaje pan to ubranie?

Skinąłem głową, nie mówiąc ani słowa.

Opadły mnie tysiączne wspomnienia na widok tego długiego pluszowego płaszcza, który tak często na niej zapinałem... Jak wtedy oczy jej, gdym stał tak blisko, szukały i szukały w moich oczach tej dawnej miłości — czy tego, co sam miłością mieniłem... a z czego nie zostało nic... Ach, co za męka wspominać to teraz... Hexford musiał widzieć, co ja czuję, jeśli bystrość jego intelligencyi dorównywała bystrości jego spojrzenia.

Okno, teraz otwarte, było to małe okienko, właściwie tylko wąska szpara w ścianie; wpływało jednak przez nie mroźne powietrze i Hexford wstrząsnął się, gdy podszedł do niego i wyjrzał. Mnie jednak było gorąco, a gdy mimowoli ręką dotknąłem czoła, odjąłem rękę zwilżoną.

V.

ŚWISTEK PAPIERU.

Niebawem nadszedł nowy oddział policyi i słyszałem, że cały dom przetrząsają. Miałem znów na nogach trzewiki i siedziałem w moim własnym prywatnym pokoju przed ogniem, który dla mnie na kominku rozpalono.

Popadłem teraz w jakieś odrętwienie i jeżeli od czasu do czasu wstrząsał mną dreszcz, to nie z zimna, ani z żadnej specyalnej duchowej udręki (zanadto bowiem czułem się przytępiony) — lecz drżałem tylko do wtóru tym sosnom za ścianami. A te sosny trzęsły się teraz, tarły i trącały gałęziami o ściany i szeptały coś do siebie ważnie, tajemniczo, tak że musiałem słuchać, pomimo wszystko inne...

Wicher, ogromnie silny przedtem, ustał teraz, śnieg tylko gęsty padał. Słyszałem już przedtem, jak się skarżyli policyanci świeży, że śnieg zasypał, zatarł wszelkie możliwe ślady. O ile mnie to uspokajało z jednej strony, o tyle niepokojem przepełniało o los Karmeli, wracającej samotnie do domu. Gdzie ona jest? Jaki jej los? Żywa czy umarła?...

Po jakimś czasie otworzyły się drzwi pozamną i wzrok mój napotkał twarz znajomą.

Wchodzący przyniósł ze sobą latarnię i postawił ją nad kominkiem. Z pewną leniwą nadzieją poznałem, że to dr. Perry, niegdyś lekarz praktykujący i serdeczny przyjaciel mojego ojca, a teraz wyższy urzędnik niezwykłej inteligencyi, a co więcej, zacnego serca człowiek.

Przywiązanie do mojego ojca nie spadło na mnie dziedzictwem, na razie przynajmniej traktował mnie, jak obcego.

— Jestem sędzią śledczym obwodowym — rzekł. — Wstałem z łóżka, chcąc z panem słów kilka pomówić i dowiedzieć się, czy zaaresztowanie pana ma jaką podstawę. Pan jest prezesem tego klubu, a dama, której gwałtowne zejście mam tutaj stwierdzić, to miss Cumberland, pańska narzeczona, wszak prawda?

Przytwierdziłem zcicha.

Wziąwszy krzesło, usiadł, a coś w jego zachowaniu dodało mi otuchy, rozproszyło tuman, zaćmiewający mi myśli.

— Mówiono mi, jak pan tłómaczy obecność swoją tutaj, w miejscu, gdzie spełniono zbrodnię. Ale jabym chciał usłyszeć to opowiadanie z własnych ust pańskich. Czuję, że panu odemnie ten wzgląd się należy i gotów jestem liczyć się z tem. Nie jest to zwykły wypadek gwałtu, a interesowane w tem strony także nie są zwykłej miary. Cnoty i stanowisko społeczne miss Cumberland wszystkim były znane, pan zaś jesteś synem człowieka, którego słusznie uważano za chlubę tego miasta. Pan miał zamiar, o ile mi wiadomo, pojąć miss Cumberland za żonę?

— Tak jest. — Spojrzałem mu prosto w oczy.— Dzień ślubu naszego był naznaczony.

— Kochałeś ją pan? Wybacz mi pan; ale jeżeli mogę się panu przydać na co w tem ciężkiem przejściu, muszę dotrzeć do jądra sprawy. Jeżeli pan nie życzy sobie odpowiadać, niech pan nie odpowiada, panie Ranelagh.

— Owszem, chcę odpowiadać.

Skłamałem. Ale cóż miałem robić, wiedząc jakiem niebezpieczeństwem byłoby dla Karmeli, gdyby ogólnie wiedziano, w którą stronę prawdziwe uczucia moje pobiegły i co za tajemny dramat walk uczuciowych i namiętnej zazdrości leżał poza tą tragedyą wstrętnej, morderczej śmierci.

— Nie potrzebuję panu niczego zatajać — ciągnąłem dalej. — Kochałem miss Cumberland. Od roku byliśmy zaręczeni. Była to kobieta bogata, ale i ja nie jestem bez środków i biorąc nawet dziewczynę bez grosza, jeszczebym był człowiekiem zamożnym.

— Rozumiem. A czy ona odwzajemniała uczucia pańskie?

— Szczerze. — Poczułem, że krew uderza mi do twarzy. Czy to poczucie winy powodowało ten rumieniec? Och, toż ona kochała mnie aż za bardzo, nazbyt zazdrośnie, zanadto wyłącznie. Na swoje nieszczęście i na moje...

— A siostra jej?

Pytanie to brzmiało łagodnie, lecz poważnie; to też poznałem odrazu, że tajemnica nasza jest wiadomą, choć sądziliśmy, że nikt o niej nie wie. Ten ot człowiek wiedział o niej, a jeśli on, to pewnie i inni! Ha! może całe miasto! Niebezpieczeństwo otchłanią otwierało się u naszych stóp. Starałem nie zdradzać się. Nie spuszczając oczu przed wzrokiem sędziego, spokojnym i stanowczym głosem odpowiedziałem:

— Jej siostra, to jej siostra. Nie przypuszczam, żeby kto z nas potrafił o tem zapomnieć. Czy pan może słyszał co innego?

Przygotowany był może na odpowiedź dwuznaczną, może na zaprzeczenie, ale nie na atak. Twarz jego przybrała wyraz nieufności, a ja odrazu spostrzegłem, że przegrałem raczej, niż wygrałem przez ten ryzykowny zwrot.

— Czy to pańskie pismo? — zapytał nagle, ukazując mi skrawek papieru, który wyciągnął z kieszeni od kamizelki.

Spojrzałem i zrozumiałem teraz...

Ten kompromitujący skrawek, mojem pismem zapisany, nie został zniszczony! Istniał na jej zgubę i na zgubę moją!

Lecz zaraz zacząłem wątpić. Czyż los mógł igrać w ten sposób z duszami ludzi i z ich zamiarami?! Mnie się tylko pewnie zdaje, że rozpoznaję wyrazy, zasnuwające mi się mgłą przed oczami? Karmela miała rozum, choć miewała chwile dzikiej, demonicznej, niepohamowanej popędliwości...

Czyż to mógł być list mój do niej? Ten fatalny list, który udaremniłby wszelkie zaparcie się naszej wzajemnej miłości?

— Czy to pańskie pismo? — powtórzył sędzia, czujnie śledząc twarz moją.

Spojrzałem znowu. Skrawek papieru mniejszy był od mojej kartki, gdy z rąk mych wychodziła. Jeżeli to tensam, to braknie kilku słów... Ale czy braknie pierwszych, czy ostatnich? Stanowiłoby to wielką różnicę w czytaniu, a raczej w zrozumieniu tego, co napisane. Och, gdyby tylko ta mgła chciała zejść mi z oczu, albo gdyby on chciał ten papierek przysunąć ku mnie bliżej! A tak ciemno przytem w pokoju...

— Czy to pańskie pismo? — Sędzia Perry zapytał po raz trzeci.

Nie mogłem zaprzeczyć. Pismo mam oryginalne i zupełnie odrębne. Nie można było mojego pisma nie poznać. Nicbym nie zyskał, choćbym nawet zaparł.

— Wygląda, jak gdyby było moje — przyznałem, ociągając się. — Przy tem świetle jednakże nie jestem pewien. Czy wolno mi zapytać, co to za kawałek papieru i gdzie go pan znalazł?

— Sądzę, że pan wie, co on zawiera. A myślę, że i na drugie pytanie potrafi pan sam znaleść odpowiedź.

To mówiąc, spokojnie złożył skrawek papieru i wsunął go do pugilaresu.

Patrzyłem na jego ruchy. I tu błysnął mi z jednej strony brązowy brzeżek — tak że zrozumiałem, skąd pochodzi słaba woń, którą czułem, nie zdając sobie z tego dotychczas sprawy. Tę karteczkę wyciągnięto z pieca... Ona chciała ją spalić. Przypomniałem sobie ogień i te resztki tlącego się papieru, które się za dotknięciem mojem rozsypały. A ten jeden, ten najważniejszy — jedyny ważny z pomiędzy wszystkich, wyleciał nadpalony z ognia i leżał gdzieś i można go było znaleść...

To wszystko było teraz dla mnie tak jasne! Mógłbym nieomal oznaczyć chwilę, kiedy Hexford i Clarke ten cenny „dowód“ znaleźli. Było to na chwilę przedtem, zanim ja przyszedłem do nich, wyszedłszy z sali balowej i to odkrycie właśnie wywołało tę ich, podsłuchaną przezemnie uwagę:

— To rozstrzyga. Teraz już on się nam nie wywinie.

W czasie chwilowego milczenia, które teraz nastąpiło, starałem się przypomnieć sobie dokładnie słowa, które nakreśliłem na tej karteczce. Niewiele ich było — a były to iskry, z samego serca krzesane. Przypomniałem je wszystkie.

„Dziś wieczór — pociągiem 10·30 — połączą nas ślubem w P. — Przybywaj, przybywaj, kochanie moje, życie moje! Ona nam wybaczy, gdy wszystko się spełni. Wahanie zgubi nas tylko. Dziś wieczór 10·30. Staw się, nie rób mi zawodu. Z nikim się nie ożenię, z tobą jedną tylko“.

Czy tyle tylko? Niejasno majaczyło mi w pamięci, że oprócz tego dodałem jeszcze parę słów bez związku, parę gorących wynurzeń miłości i imię jej. Jej imię! Ale być może że w pośpiechu owej chwili te serdeczne słowa tylko przez myśl mi przeszły i nie przelały się na papier... Nie byłem pewien.

Nie mogłem również być pewnym, zważywszy, że tylko przelotnie błysnęła mi przed oczyma ta karteczka, która część jej właściwie uległa spaleniu — czy ta górna, gdzie zachodził wyraz „pociągiem“, czy też ostatnie wyrazy, z naciskiem oznaczające godzinę spotkania i mówiące o mojem postanowieniu ożenienia się jedynie z osobą, do której piszę. Jeżeli pierwszych braknie, dalsze mogą nabrać potwornego znaczenia. Jeżeli końcowych braknie, pierwsze posłużyć mi mogą za dowód, że co innego o tej porze zatrzymało mnie w mieście.

Gnębiła mnie niepewność mego położenia. Biedna, oszalała, winą swą do nieprzytomności doprowadzona dziewczyna popełniła ten straszny błąd, że kartce mej, niedopalonej, pozwoliła wypaść z pieca, ale może popełniła też i inne. Trudno będzie znaleść dla niej alibi, jeżeli podejrzenia zwrócą się w jej stronę. Nie zeszła się ze mną na dworcu w godzinie odejścia pociągu. Nieznany, lecz łatwy do odnalezienia człowiek, który mi list jej doręczył, może przysięgać na to.

A teraz ten list! Ja go zniszczyłem, to prawda... Pamiętałem każde słowo, bo i pamiętałem wrażenie, jakie zrobił na mnie. Niewinne to były słowa, o ile ona sama była niewinną, ale jakże posępną była ich zapowiedź, jeżeli prawdopodobieństwo winy jej przypuścić...

„Nie mogę. Zaczekaj do jutra. Jutro dowiesz się, jak bardzo cię kocham — co winna jestem tobie — co winna jestem Adeli“.

Miałem się dowiedzieć.

I dowiedziałem się.

Nagle drgnąłem, nową niepokojącą myślą szarpnięty. Czy nie odnaleziono Karmeli na drodze stąd do jej domu?

Tymczasem żaden ruch mój niespokojny, żaden odblask dręczących mnie myśli na twarzy nie uchodził bacznego i uważnego oka siedzącego naprzeciw mnie sędziego.

— Nie dogadzają panu, jak widzę, moje pytania — przemówił oschle. — Może pan woli sam, bez przerywania, opowiedzieć mi wszystko. Jeżeli tak, niech pan opowiada możliwie szczegółowo. Położenie na tyle jest poważne, że wymaga z pańskiej strony bezwzględnej szczerości.

Mylił się. Za bardzo było poważne. Zupełna szczerość byłaby naraziła Karmelę. Mogłem sobie tylko pozwolić na pozorną szczerość, częściową tylko...

— Zdam panu sprawę z tego, jak spędziłem ten wieczór — zacząłem, szybko powziąwszy postanowienie. — Nie wiele to panu dopomoże, ale niech będzie dowodem mojej dobrej wiary. Zapytał mnie pan przed chwilą, czy kochałem kobietę, z którą byłem zaręczony, a której zwłoki najniespodziewaniej znalazłem tutaj w tym domu, krótko przed północą. Odpowiedziałem, że tak, pan zaś dał mi do zrozumienia, że pan o tem wątpi. I słusznie wątpił pan. Ja ją kochałem dawniej — a przynajmniej mniemałem, że ją kocham — lecz uczucia moje uległy zmianie. Wielka pokusa wstąpiła w moje życie. Karmela wróciła z pensyi — a pan wie, jaka ona piękna, jaka urocza. Po tygodniu jej obecności zrozumiałem, że nie będę mógł ożenić się z Adelą. Ale jak tego uniknąć? Postąpiłem, jak tchórz; postanowiłem nakłonić to młode, niedoświadczone dzie-

wczę, by uciekła zemną i zaślubiła mnie potajemnie. Zmiana w zachowaniu się miss Cumberland, widoczna teraz, dodawała mi tylko bodźca. Nie była to zmiana tego rodzaju, żebym aż żądać musiał otwartego wyjaśnienia, ale czułem, że zbliża się dzień obrachunku i lękałem się tego. Przyznaję, że nie było to postępowanie godne mężczyzny, bo byłem tchórzem, zgrzeszyłem dwulicowością. Przyznaję to i wstydzę się tego. Nie zmieniając w duszy zamiaru, opanowywałem staranniej i twarz moją i zachowanie i myślałem, że udało mi się ukryć przed Adelą rzeczywiste uczucia moje i moje zamiary.

„I sam nie wiem, czy mi się udało. Teraz już nigdy nie dowiem się tego...

„W tych ostatnich dniach narzeczona moja nie była sobą, nie była tą, co zawsze; ale że miała i inne powody zgryzoty, rad byłem temu przypisywać niepokój w jej zachowaniu się, krótkie, ostre jej przemówienia i chłód, z jakim przyjmowała wszystkie moje wysiłki, by ją rozchmurzyć i uspokoić. Dzisiejszy wieczór...

Zatknąłem się przy tem słowie. Ten cały dzień był jednym ciągiem przykrych przejść, których ostatecznym, najstraszliwszym epizodem było to okropne odkrycie.

— Dzisiejszy wieczór — jąkając się, ciągnąłem dalej — dzisiejszy wieczór miał być kresem wytrwania mojego w tej sytuacyi nie do zniesienia. W chwili samotności, poprzedzającej obiad w domu miss Cumberland, napisałem kilka słów do jej siostry, błagając ją, by powierzyła mi swój los i by spotkała się ze mną na stacyi, tak byśmy mogli wyjechać pociągiem o wpół do jedenastej. Zamierzałem zawieźć ją odrazu do P., gdzie miałem przyjaciela duchownego, który byłby nam dał ślub odrazu. Działałem pośpiesznie i nagle, gdyż nerwy moje już nie mogły znieść dłużej tego napięcia, a i ona pomizerniała, szarpiąc się w tej skrytej, milczącej walce...

Łatwo było napisać ten list, ale wręczyć go trudno. Miss Cumberland nie spuszczała ze mnie oczu. Musiałem jej odpowiadać wzrokiem, a Karmela widząc to, patrzyła w talerz, albo na brata swojego, Artura.

Znalazła się jednak sposobność, gdy wstawszy od stołu, przeszliśmy do salonu. Karmela siadła przy mnie, ja zaś wsunąłem jej karteczkę do ręki. Nie spodziewała się tego i lękam się, że miss Cumberland to spostrzegła, gdyż wkrótce potem przy pożegnaniu, uderzył mnie jej wyraz. Nigdy jej jeszcze takiej nie widziałem, a wyraz jej twarzy stanowił taką sprzeczność z tymi zwykłemi słowami, jakiemi mnie pożegnała! Spojrzenia jej nie mogłem zapomnieć. Wciąż widziałem te wyciągnięte rysy i płonące oczy, gdym jechał do domu po moje rzeczy i miałem je w oczach, jadąc na stacyę, chociaż myślami goniłem do jej siostry i upragnionego z nią szczęścia. Doktorze Perry, taki to jest egotyzm męski... Ja ani dobrze Adeli nie znałem, ani tej dziewczyny, której miłość ku sobie przeceniałem...

„Karmela zawiodła mnie, doktorze Perry... Nie zastałem jej na stacyi, zastałem tylko jej list — parę pośpiesznych słów, które mi wręczył jakiś obcy człowiek. Pisała mi, że za wiele od niej żądam, że nie może w ten sposób krzywdzić siostry, która ją wychowała i wszystkiem dla niej była od śmierci ich matki. Nie posiadam tego listu, gdyż pokazałbym go panu. W rozpaczy zawodu podarłem go w drobne kawałki i rzuciłem na wiatr. Całą moją przyszłość stawiłem na kartę i oto przegrałem... Gdybym miał przy sobie rewolwer...

Przerwałem, gdyż ostrzegło mnie niespokojne poruszenie mojego słuchacza, że lepiej nie rozszerzać się nad stanem moich uczuć. Zapomniałem do kogo mówię, myśląc tylko o własnem nieszczęściu. A teraz przypomniałem sobie o tem stokroć większem nieszczęściu, w które wpadłem i o tem, jakie wnioski wysnućby można z wyrazu tak gwałtownych moich uczuć. To też opanowałem się, zmierzając w mojem opowiadaniu już prościej do końca:

— Nie opuściłem stacyi, dopóki pociąg o 10·30 nie odszedł. Jeszcze wciąż miałem nadzieję, że jej doczekam, a może i lękałem się tej samotnej powrotnej drogi do domu. Zamyślony, przez prostą nieuwagę pojechałem tędy, zamiast jechać prosto, Aleją Marszałkowską. Nie miałem zamiaru zatrzymywać się tutaj; klub oficyalnie zamknięty został wczoraj i nawet kluczy nie miałem ze sobą. Lecz na zakręcie drogi, skąd odsłania się widok budynku, dojrzałem cienkie pasemko dymu, wznoszące się z jednego z kominów i niespokojny, co to ma znaczyć, zajechałem...

— Zaczekaj pan, panie Ranelagh, niestety muszę panu przerwać, ale przez którą bramę wjechałeś pan?

— Przez dolną.

— A czy padał wtedy śnieg?

— Nie. Było to na chwilę przedtem, nim chmury zakryły księżyc. Widziałem wszystko bardzo wyraźnie, bo było jasno.

Mój towarzysz skinął głową, a ja spiesznie zacząłem mówić dalej.

Każde jego pytanie przerażało mnie. Tak nic nie wiedziałem z tego, co on może wiedzieć, tak bałem się, że każde moje oświadczenie może służyć za ślad jakiś, za jakąś wskazówkę... Nie wiedziałem nawet czy trafem jakim, czy na czyjeś wezwanie,



Ten kompromitujący skrawek, mojem pismem zapisany, nie został zniszczony.

i czyje mianowicie zjawiła się tu policya? Nikt mi tego nie powiedział, a ja nie śmiałem zapytać. Czułem, że stąpam, jak wśród nastawionych sieci i że sam bezwiednie ściągnąć mogę katastrofę. A jednakże muszę panować nad sobą i odpowiadać możliwie najprawdziwiej, by samemu nie zawikłać się bez ratunku.

— Przytwierdziwszy konia do jednej z sosen w gęstwinie — ciągnąłem dalej — on tam i teraz jeszcze stać musi — podszedłem do domu i spróbowałem drzwi. Drzwi zamknięte były tylko na klamkę, tak że wejść mogłem. Nie było światła na dole; posłuchawszy chwilę, czy czego nie usłyszę, zacząłem po omacku skradać się po domu, szukając tego, który tu wtargnął. Nie chcąc zdradzić się ze swoją obecnością, zdjąłem trzewiki. Przeszedłem przez pokoje parterowe, a potem wyszedłem na górę. Jakiś czas upłynął, zanim dotarłem do... do tego pokoju, gdzie ogień palono; ale wchodząc tam, nie wiedziałem... — i dorzuciłem szybko, czując na sobie skupiony jego wzrok: — nie wiedziałem, co się tam stało, ani kogo tam zastanę, wiedziałem tylko, że tam musiał być ten intruz, że może tam jest jeszcze i postanowiłem z nim walczyć. Co?... co ja takiego powiedziałem?... — zapytałem trwożnie, pochwyciwszy na twarzy sędziego wyraz wstrętu i obrzydzenia; krótko trwał i minął, ale dopóki trwał, był niedwuznaczny.

— Nic — odpowiedział — nic takiego. Niech pan mówi dalej.

Ton jego jednak, choć opanowany, nie oszukał mnie przecież. Zrozumiałem, że pochwycony zostałem na jakimś wykręcie, czy zatajeniu. Ponieważ nie wspomniałem nic o tem, co dla mnie było najważniejszem, ani o zjawieniu się Karmeli, ani o moich strasznych wnioskach, stąd wysnutych — więc też sumienie moje zaniepokojone powiększało tylko moje zmieszanie. Przez chwilę nie wiedziałem, na czem stanąłem i bałem się, że może zdradziłem się z mym niepokojem. Dopiero po paru jego mało znaczących pytaniach mogłem mówić dalej. Ale już teraz mówiłem potrosze bez związku w myślach i mówiłem szybko, urywanie.

— Miałem w kieszeni zapałki, zapaliłem więc zapałkę — zacząłem. — A potem zapaliłem świecę. Odnosiłem wrażenie, że przez ten pusty pokój przeszła jakaś tragedya... Widząc wysoko ułożone poduszki... a zanadto regularnie, żeby to było przypadkowe... na otomanie, na której zwykle bywają tylko dwie... zacząłem ściągać te poduszki... Ujrzałem nogę... rękę... warkocz jasnych włosów. Jeszcze i wtedy nie pomyślałem, że to o n a. Bo i skąd? Dopiero, gdy twarz jej odsłoniłem, zdjęło mnie przerażenie wobec tego odkrycia, a wtedy powstał w mej głowie taki zamęt... tak mnie to wszystko rozstroiło, że padłem na kolana...

— Dalej! Dalej!

Gwałtowność, oczekiwanie w tym głosie, zadziwiły mnie. Popatrzyłem na sędziego i straciłem wątek opowiadania... Cóż ja więcej miałem mu powiedzieć? Wszystko inne, wszystko to straszne, najstraszniejsze dla mnie, przemilczałem, w własnej pamięci przecież zatrzeć to chciałem...

— Nie mam nic więcej do powiedzenia — szepnąłem. — Okropność tego widoku chaosem zapełniało mi duszę. Patrzyłem na te jej zwłoki, leżące przedemną, jak odtąd patrzyłem na wszystko inne. na policyę, skoro przyszła, na pana teraz... Ale ja nic nie wiem. To wszystko dla mnie jak senne widziadło, jak nocna bezsensowna zmora... Ona nie żyje — to wiem — ale wszystko pozatem wątpliwe, mętne, niezrozumiałe. — Jestem jak ślepy, który nie rozumie świata... Ani sam nie rozumiem, ani wyjaśnić bym nie mógł.

IV.

KOMENTARZE I ROZTRZĄSANIA.

Sędzia nie spuszczał ze mnie przenikliwego wzroku, jak gdyby wciąż jeszcze pragnął, bym szczerzej się wynurzył. Lecz ile on wiedział? Oto pytanie. Ile on wiedział?

Nie wiedząc tego, musiałem milczeć. Więcej nic już powiedzieć nie śmiałem. On tymczasem spuścił nareszcie wzrok, a ja poczułem, że minęła dla mnie sposobna chwila.

Dowiodło tego zaraz następne pytanie.

— Pan mówił, że pan widział wszystko naokoło, choć pan tego nie rozumiał. A więc musiał pan także widzieć, że w pokoju, w którym leżała miss Cumberland, stały także dwa kieliszki, wilgotne jeszcze, z odrobiną jakiegoś likieru.

— Tak, ja to zauważyłem.

— Ktoś musiał z nią pić?

— Nie można temu zaprzeczyć.

— Czy miss Cumberland lubiła likier?

— Niecierpiała wszelkich likierów. Nigdy alkoholów nie używała. Nie widziałem kobiety, któraby taki wstręt czuła do wina.

Powiedziałem to, nie zastanowiwszy się wpierw. Ale zagadkowa obecność tych kieliszków mnie samego uderzyła odrazu. Ani ona, ani Karmela nawet w towarzystwie nigdy nie pijały alkoholu — a jednakże z tych kieliszków pito.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z zabytków austryackiej floty.

Wiadomo, że ministerswo wojny zażądało nowych kredytów na budowę dalszych statków wo-



Nowy ambasador austryacki w Paryżu: Dr. Mikołaj Szecsen.

jennych, uzasadniając konieczność dalszych zbrojeń powiększeniem floty wojennej najbliższego sąsiada tj. Włoch. W delegacyach toczyły się ożywione dyskusye na ten temat, w rezultacie zaś uchwalono te kredyty w myśl żądania ministeryum wojny.

Przy sposobnosci dyskusyi nad sprawą floty wojennej Austro-Węgier okazało się, że nominalnie flota ta jest wcale liczna, że jednak w skład jej wchodzą okręty wojenne tak dawnej konstrukcyi, że wobec postępu techniki i wobec dzisiejszych dreadnoughtów nie przedstawiają niektóre z nich żadnej zgoła wartości bojowej. Jeden pocisk działowy dreadnoughtu może cały taki starożytny statek wojenny zniszczyć.

Na rycinie naszej widać właśnie jeden z takich „zabytków“ małowartościowych, mianowicie okręt wojenny „Saida“. Jest on wprawdzie uzbrojony w działa, ale ich pociski nie są niebezpieczne dla dzisiejszych statków wojennych, natomiast nawet mały okręt nowoczesny grozi „Saidzie“ niezawodną katastrofą.



Z zabytków austryackiej floty: Starodawny statek wojenny „Saida“.

Sciganie rabusiów.

Okolice Kaukazu, dalej pogranicze rosyjsko-perskie, są to strony na wpół dzikie, gdzie niebezpiecznie zapuszczać się bez należytego uzbrojenia, pełno tam bowiem grasuje rabusiów i rzezimieszków najgorszego kalibru, napadających nietylko na zapuszczających się w owe okolice kupców, lecz i na domy a nawet całe wsi.

Rabusie ci rekrutują się z pośród rozmaitego pochodzenia rzezimieszków. Są między nimi Persowie. są Turcy, są i Ormianie. Znając doskonale teren swej rozbójniczej działalności, umieją się bardzo sprytnie ukrywać przed ścigającymi ich przedstawicielami władzy bezpieczeństwa, a mając między sobą formalną organizacyę, znają też dokładnie czas i drogi pościgu.

Rząd rosyjski nie szczędzi starań, by wytępić rozbójnictwo na Kaukazie; w tym celu wysyła w najniebezpieczniejsze okolice całe oddziały żandarmeryi i wojska, które ma tropić rozbójników i więzić ich.

Rycina nasza przedstawia właśnie oddział wojska rosyjskiego, wysłany w pościg za niebezpieczną bandą rabusiów, podczas postoju w jednej ze wsi kaukaskich.



Ściganie rabusiów: Oddział wojska rosyjskiego, ścigający rabusiów kaukaskich.

Trafika w automobilu.

Pewien trafikant londyński wpadł na bardzo oryginalną myśl. Oto sprawił sobie zgrabny, kryty samochód i urządził w jego wnętrzu skład tytoniu i cygar. Dzięki temu może ze swą wędrowną trafiką objeżdżać całe sześciomilionowe miasto i dostać się nawet do najdalszych jego przedmieść, aby tam rozsprzedawać swe zapasy „paliwa“. Samochód jest wyekwipowany bardzo solidnie i na zewnątrz przedstawia się bardzo elegancko, nie ustępując pod tym względem pierwszorzędnym magazynom miejskim.

Dla nas przedstawia się widok takiej wędrownej trafiki tem oryginalniej, że w Austryi stanowi sprzedaż tytoniu i cygar monopol państwowy, unormowany całym szeregiem przepisów; jednym z tych przepisów jest też przywiązanie prawa sprzedaży tytoniu do pewnego stałego miejsca.

Anglia jednak nie posiada ani tytoniowego monopolu państwowego — tak samo jak np. Rosya— ani też handel tamtejszy nie jest ograniczony żadnymi przepisami, normującymi jego rozmiary lub siedzibę.



Pożar gazów podziemnych: Widok dobywających się z pod ziemi płomieni gazowych, ktore zajęły się przy wierceniu wody obok Hamburga.

Pożar gazów podziemnych.

W pobliżu Hamburga prowadzi się z polecenia senatu miejskiego głębokie wiercenia w poszukiwaniu za nowemi źródłami wody do picia, ponieważ dotychczasowe źródła nie wystarczają potrzebom rosnącego szybko w ludność miasta. Przy robotach tych natknięto się w głębokości 230 m. na potężne źródło gazów podziemnych, które nagle, z niewyjaśnionych na razie powodów, zajęło się, a płomienie ognia wystąpiły na powierzchnię ziemi.

Ciśnienie gazów, zwłaszcza w miejscu wybuchu, było bardzo silne, mimo to płomienie nie mogły wznieść się z zupełną swobodą w górę z powodu reakcyi ze strony świdrów, tkwiących głęboko w ziemi, w następstwie czego dobywające się na powierzchnię płomienie musiały ją rozdzielić na trzy potężne strumienie. Dwa z nich tworzyły linię poziomą, płynącą w stronę prawą i lewą, trzeci zaś w formie wodotrysku wzbił się w górę w kierunku pionowym.

Efekt kolorystyczny, jaki stąd powstał, był, zwłaszcza w porze nocnej, wprost porywająco piękny. Od delikatnej barwy błękitnej aż do najgłębszej czerwieni, były wszystkie barwy tęczowe reprezentowane. Równocześnie płonące pod ziemią źródło wydawało łoskot, przypominające szum potężnego wodospadu.

Wspaniałe to widowisko trwało kilka dni i ciągnęło tłumy ciekawej publiczności, pragnącej przypatrzeć się niezwykłej grze barw. Między tymi, którzy się tam zjawili, nie zabrakło i cesarza Wilhelma II.



Odznaczenie bohaterów: Jenerał Moinier. dekorujący żołnierzy francuskiej armii afrykańskiej.

Wieloryb jako posąg.

Stowarzyszenie wojskowe w miejscowości Fischbach w Wirtembergii postanowiło niedawno uczcić pamięć cesarza Wilhelma I., twórcy zjednoczonych Niemiec, przez wzniesienie pomnika. Nie miało jednak odpowiednich funduszów, koniecznych na ten cel, jeśli pomnik miał być piękny i godnie wyrażać uczucia członków stowarzyszenia. Tanim jakimś, bezwartościowym biustem, nie chcieli członkowie załatwić sprawy.

W toku rozważań nad tą sprawą wyłoniła się myśl bardzo oryginalna, aby na ten cel użyć skamieniałego wieloryba, jaki właśnie niedawno został w Fischbachu odkopany.

Myśl ta znalazła posłuch. Istotnie ustawiono skamieniałego wieloryba na publicznym placu miasta i ozdobiono go krótkim napisem, podnoszącym zasługi cesarza Wilhelma I.

W ten sposób miasto otrzymało pomnik tani, a bardzo niezwykły.

Tragiczny koniec urzędnika kolejowego.

Jednym z najbardziej odpowiedzialnych i niebezpiecznych zawodów, jest zawód kolejarza, który wymaga nadzwyczajnej przytomności umysłu i nieraz nadludzkich prawie wysiłków i poświęceń. Nic w tem zresztą dziwnego, na jego głowie spoczywa bezpieczeństwo tysięcy ludzi, każde zaś przeoczenie lub pomyłka może skarb kolejowy narazić co najmniej na dotkliwe szkody materyalne.

Wobec tak wytężającej i odpowiedzialnej służby powinni kolejarze być daleko lepiej materyalnie sytuowani, niż są i pracować w odpowiedniejszych warunkach, niż to dzieje się obecnie. Niestety, osławiony „szparsystem“ kolejowy daje się wszystkim we znaki. Z zasady brakuje na wszystko pieniędzy, zwłaszcza zaś na poprawę stosunków, wśród których pracują kolejarze; niektóre dworce zalegają takie ciemności, że doprawdy dziwić się trzeba iż straty w ludziach są jeszcze stosunkowo dość rzadkie.

Ofiarą swego zawodu padł w ubiegłym tygodniu w Czerniowcach na dworcu kolejowym adjunkt kolei państw. Tomasz Rebik, jeden z bardzo zdolnych i wielce lubianych funkcyonaryuszów kolejowych.



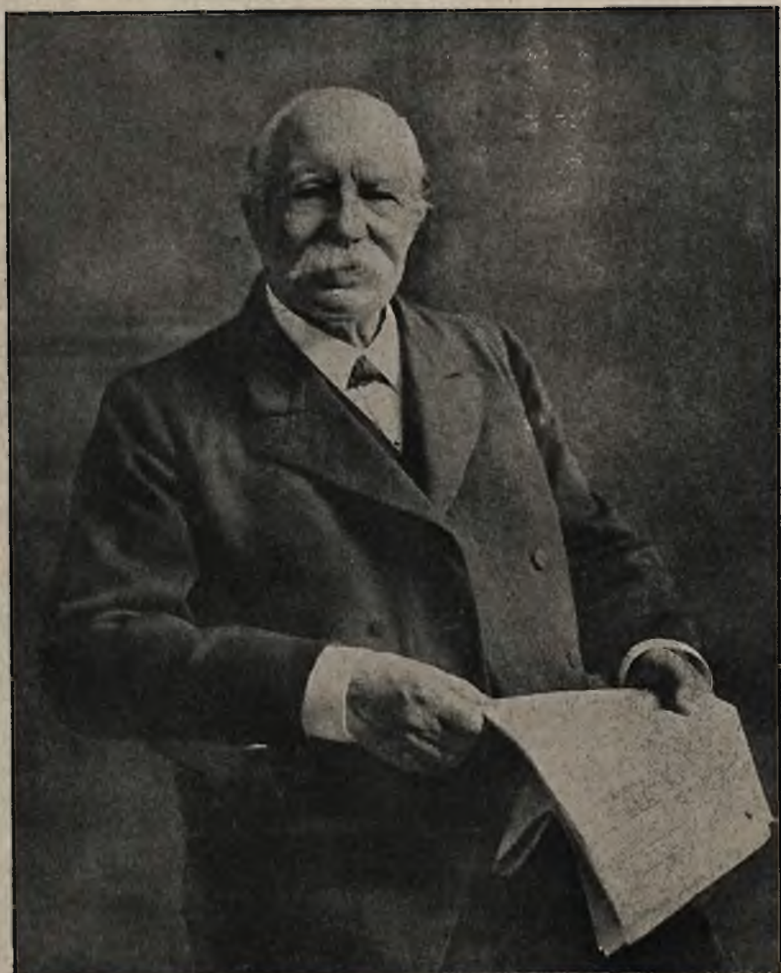
Wieloryb jako posąg: Skamieniały wieloryb jako pomnik cesarza Wilhelma II. w mieście Fischbach.

Przechodząc przed kilku dniami podczas silnej zamieci śnieżnej na dworcu tamtejszym z magazynu frachtowego do budynku stacyjnego przez tor kolejowy, potknął się prawdopodobnie i upadł w tej chwili, gdy nadjechała lokomotywa z tenderem nadzwyczajnie. Nieszczęśliwy dostał się pod koła lokomotywy, która przecięła mu nogę i wlokła go ze sobą jeszcze 82 metrów, przyczem odniósł ciężkie rany. — Ofiarę



Grób wielkiego pisarza: Mogiła hr. Tołstoja w lesie pod Jasną Polaną.

nieszczęśliwego wypadku w stanie nieprzytomnym przewieziono do szpitala krajowego, gdzie pomimo natychmiastowej pomocy lekarskiej niebawem zmarł. Pogrzeb odbył się przy bardzo wielkim udziale urzędników i służby kolejowej, której część pewną ś. p. zmarły zorganizował na podstawie programu chrześcijańsko-socyalnego. S. p. Rebik, liczący 42 lat, osierocił żonę i dwoje niezaopatrzonych dzieci.



Zgon nestora adwokatów krakowskich: Śp dr. Władysław Markiewicz.

Zgon nestora adwokatów krakowskich.

W ubiegłym tygodniu zmarł nagle na udar serca w czasie konsultacyi u jednego z krakowskich lekarzy, adwokat dr. Władysław Markiewicz, najstarszy z członków krakowskiej palestry, przeżywszy lat 76.

Śp. Władysław Markiewicz prowadził w Krakowie przez bardzo długie lata kancelaryę adwokacką, cieszącą się jak najlepszą sławą. Bo śp. Markiewicz sam był mężem wyjątkowo czystego i pięknego charakteru. Z powodu zalet umysłu i serca cieszył się też ogólną czcią i poważaniem, zwłaszcza w kołach kolegów zawodowych, czego wyrazem i dowodem było powołanie go na stanowisko prezesa izby adwokackiej w Krakowie. Godność tę piastował śp. dr. Markiewicz przez szereg lat.

Sp. Markiewicz nie brał żywszego udziału na arenie życia politycznego, bardzo gorąco natomiast zajmował się prawie wszystkiemi instytucyami humanitarnemi w Krakowie, służąc im gorliwie i czynem i radą. Dobroczynność była wogóle umiłowanem polem jego działalności.

W szczególności pracował wydatnie w Arcybractwie miłosierdzia i długie lata był starszym tej najpoważniejszej instytucyi humanitarnej, w jej Radzie zaś zasiadał do ostatnich chwil życia. Także towarzystwo dobroczynności korzystało z jego ofiarności, a piastował tam śp. dr. Markiewicz godność wiceprezesa. Bardzo skuteczną działalność rozwijał w komitecie ochron dla małych dzieci, jako zastępca głównego opiekuna. Dzieło to, jedno z najdonioślejszych dla ubogiej ludności robotniczej i jej dziatwy, rozwija się z roku na rok a rozwój swój zawdzięcza w niemałej mierze zmarłemu właśnie dobroczyńcy. W ostatnich czasach zajmował się śp. Markiewicz bardzo żywo podrzutkami, jako prezes tow. opieki nad podrzutkami imienia Dzieciątka Jezus; był ponadto prezesem Bractwa dobrej śmierci a członkiem niemal wszystkich instytucyi dobroczynnych.

Zwłaszcza w paru ostatnich latach, kiedy z powodu sędziwego wieku zwinął swą kancelaryę adwokacką, oddał się w zupełności sprawom dobroczynności publicznej, poświęcając im nietylko czas, nietylko siły własne ale i sporo grosza. Do ostatnich chwil cieszył się względnie pomyślnym stanem zdrowia a czerstwy wygląd zdawał się zapowiadać długie jeszcze lata życia zacnemu filantropowi. Niestety śmierć zupełnie nagle przecięła pasmo jego dni, wyrządzając tem ciężką, bolesną stratę osieroconym instytucyom.

Dowodem poważania i sympatyi, jaką śp. Markiewicz cieszył się w szerokich kołach Krakowa, był jego pogrzeb, przy tłumnym udziale publiczności oraz bardzo wielu wybitnych osobistości, które pospieszyły, by oddać ostatnią posługę zasłużonemu mężowi.

Cześć Jego pamięci!

Udogodnienia pocztowe za granicą.

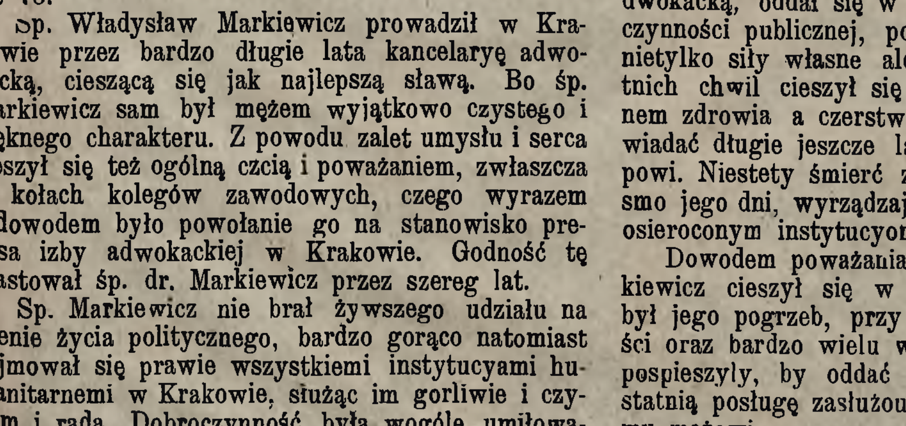
W miarę rozszerzania się sieci pocztowej, pokrywającej już prawie cały świat, wprowadzają zarządy coraz to nowsze ulepszenia i udogodnienia, mające na celu ułatwienie komunikacyi. Ostatnie dziesiątki lat przyniosły nam tyle nowych urządzeń, że nawet tak skomplikowana machina, jaką jest ustrój pocztowy, funkcyonuje bez zarzutu i oddaje społeczeństwu nieocenione przysługi. W tym czasie, jakiego niegdyś potrzeba było na przesłanie korespondencyi do niezbyt oddalonego miejsca, dostaje się list za ocean.

Niema prawie miejscowości w Europie, gdzieby nie było bodaj skrzynki pocztowej, składnicy lub urzędu pocztowo-telegraficznego, listonosze wiejscy roznoszą korespondencyę do najodleglejszych zakątków. Ekspedycya odbywa się nader szybko i dokładnie, w urzędach pocztowych wielkich miast wre dzień i noc gorączkowa praca, setki wózków zwożą listy ze skrzynek, rozrzuconych po całem mieście, setki wagonów pocztowych rozwożą je w najrozmaitszych kierunkach.

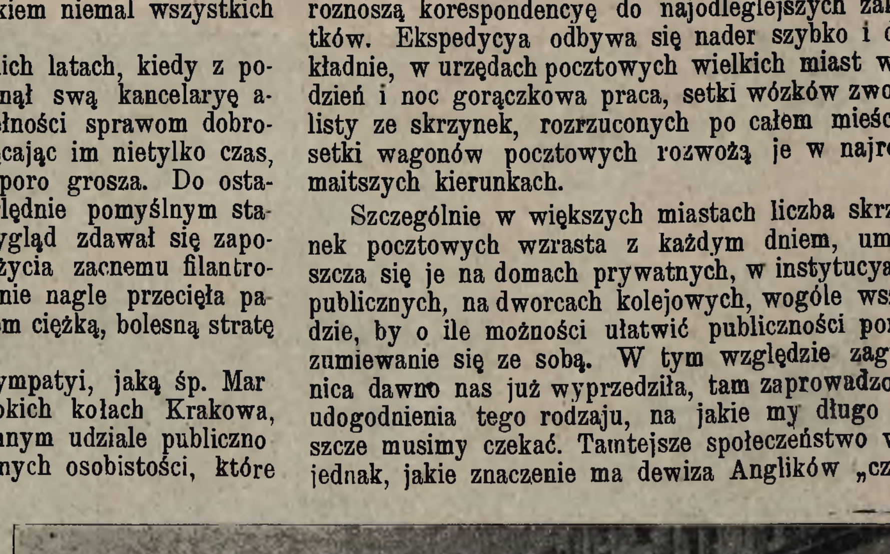
Szczególnie w większych miastach liczba skrzynek pocztowych wzrasta z każdym dniem, umieszcza się je na domach prywatnych, w instytucyach publicznych, na dworcach kolejowych, wogóle wszędzie, by o ile możności ułatwić publiczności porozumiewanie się ze sobą. W tym względzie zagranica dawno nas już wyprzedziła, tam zaprowadzono udogodnienia tego rodzaju, na jakie my długo jeszcze musimy czekać. Tamtejsze społeczeństwo wie jednak, jakie znaczenie ma dewiza Anglików „czas,



Udogodnienia pocztowe za granicą: Skrzynka na listy na wozie kolei elektrycznej w Brukseli.



Jubileusz pierwszej niemieckiej kolei: Lokomotywa z tenderem z r. 1835 na przestrzeni Norymberga-Fürth.



Trafika w automobilu: Automobil handlarza tytoniu i cygar w Londynie, zamieniony na trafikę.

to pieniądz“, stara się też ułatwić komunikowanie się wzajemne, ile się tylko da, choćby to nawet miało pociągnąć za sobą i większe wydatki, które się jednak później sowicie opłacają.

Jednem z takich postępowych udogodnień w dziedzinie służby pocztowej jest zaprowadzenie w Brukseli skrzynek na listy na wozach miejskiej kolei elektrycznej, przecinającej miasto we wszystkich kierunkach. Co kilkadziesiąt minut wypróżnia się skrzynki, listy zaś odnosi się do najbliższego urzędu pocztowego, który rozsyła je natychmiast w oznaczonych kierunkach, korespondencye więc interesowanych daleko prędzej, niż to było dotąd, dostają się na miejsce przeznaczenia.



Wybory w Anglii: Obrazek z agitacyi na ulicach Londynu.

Humanitarna instytucya.

W obecnej porze zimowej nie wiele z towarzystw niesie tak pożądaną pomoc najuboższej dziatwie szkolnej, jak istniejące od szeregu lat towarzystwo „Przyjaciół dzieci“ w Stryju.

Założone przed blisko 30 laty w r. 1884 przez dotychczasową swą przewodniczącą p. Konstancyę Lewicką, rozwija na tamtejszym gruncie niezmiernie błogą w skutki działalność i niesie w porze zimowej najuboższej dziatwie szkół ludowych stryjskich doraźną pomoc, zaopatrując ją w odzież ciepłą i obuwie. Działalność ta jest tem chwalebniejszą, że towarzystwo obdarza młodzież szkół męskich i żeńskich bez różnicy wyznania i narodowości; liczy też w swojem gronie członków wszystkich żyjących tu narodowości, którzy zgodnie i chętnie przyczyniają się swemi wkładkami do istnienia i rozwoju towarzystwa.

Liczy ono obecnie około 300 członków, w tem i takich, którzy niegdyś sami pomocy jego doznali, wydaje na sprawienie odzieży ciepłej i obuwia dla



Zmiana w Kole polskiem: Były wiceprezes Koła, poseł dr. Władysław Czaykowski.

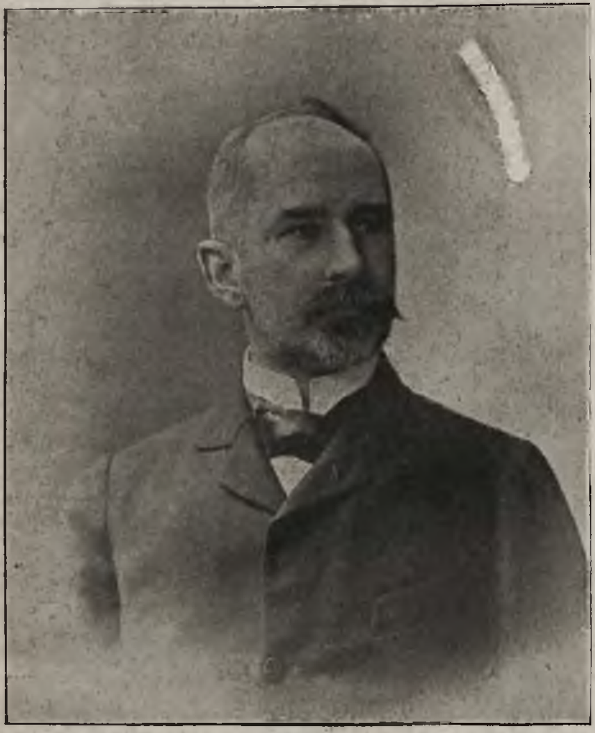


Fot. M. Münz, Lwów.

Pożegnanie dyrektora „Żywnostenskiej Banki“ we Lwowie: Uczestnicy uroczystego pożegnania dyr. Jerzego Vallenty, powołanego ze Lwowa na stanowisko dyrektora Banku czesko-polskiego w Warszawie.

ubogiej dziatwy szkolnej przeszło 1500 K rocznie i zaopatrzyło już w ciągu swego istnienia wiele setek pilnej lecz ubogiej dziatwy, czem pomogło niejednej zdolnej i do pracy chętnej jednostce do ukończenia szkół i zdobycia stanowiska.

W roku bieżącym została czcigodna założycielka



Zmiana w Kole polskiem: Nowy wiceprezes Koła, poseł prof. dr. Antoni Górski.

i długoletnia p zewodnicząca towarzystwa, p. Konstancya Lewicka, z okazyi jubileuszu 80 letnich urodzin cesarskich za swą tyloletnią niezmordowaną i niezwykle skuteczną działalność filantropijną odznaczo złotym krzyżem zasługi z koroną. Rycina nasza prz stawia właśnie wydział tego pożytecznego towarzystwa ze swą przewodniczącą, p. Konstancyą Lewicką w pośrodku.

Zmiana w Kole polskiem.

W ubiegłym tygodniu zaszła w Kole polskiem w Wiedniu zmiana w prezydyum, ustąpił mianowicie wiceprezes Koła, dr. Władysław Czaykowski, przedstawiciel stronnictwa konserwatywnego, a miejsce jego zajął jako przedstawiciel tegoż stronnictwa, prof. dr. Antoni Górski.

Powody tej zmiany osób są natury politycznej, a odnoszą się do stanowiska reprezentacyi polskiej wobec sprawy budowy dróg wodnych, w szczególności zaś wobec ministra skarbu dra Bilińskiego.

Jak wiadomo, Koło polskie postanowiło zgodnie z wolą całego społeczeństwa bronić ustawy o kanałach z całą energią i domagać się przeprowadzenia tej ustawy przynajmniej o tyle, o ile dotyczy ona Galicyi. Minister skarbu dr. Biliński jest przeciwnikiem wykonania ustawy, z tego rzekomo powodu, iż fundusze państwa nie pozwalają na olbrzymie wydatki, z budową tą połączone. Pierwotnie część posłów polskich była gotowa zrezygnować z dróg wodnych w Galicyi, a przyjąć ofiarowywane przez rząd względnie przez ministra dra Bilińskiego odszkodowanie w gotówce, a między tymi posłami, którzy się jako zwolennicy tego projektu do pewnego stopnia zaangażowali, był wiceprezes Koła, dr. Czaykowski.

Tymczasem wieść o tych targach doszła do społeczeństwa i wywołała zupełnie uzasadnione oburzenie. Zrozumiano, że zanosi się na nowe pokrzywdzenie naszego kraju, zrozumiano, że rząd chce znowu zadrwić z Galicyi i dać jej zamiast koniecznych do dalszego rozwoju ekonomicznego dróg wodnych jakąś marną sumę pieniędzy, która gdyby nawet została wypłacona, nie stałaby w żadnym stosunku do wysokości szkody z powodu utraty dróg wodnych. Pod wpływem rezolucyi, powziętych przez szereg poważnych kół fachowych, przedewszystkiem przez izby handlowe i przemysłowe, pod wpływem opinii najwybitniejszych i najpoważniejszych techników i przemysłowców, pod wpływem wreszcie ogólnie objawionej jednomyślnej woli całego społeczeństwa, Koło polskie stanęło na stanowisku, jedynie w tym wypadku wskazanem i dało poznać rządowi, iż nie zrezygnuje pod żadnym warunkiem z budowy dróg wodnych w Galicyi. Ponieważ jednak wiceprezes dr. Czaykowski poprzednio skłaniał się ku projektowi ministra Bilińskiego, przeto stronnictwo konserwatywne, które obecnie postanowiło domagać się stanowczo budowy dróg wodnych, wycofało go z prezydyum, a desygnowało na jego miejsce dra Górskiego, wybitnego ekonomistę, jako gorliwego zwolennika wykonania ustawy z 1901 r.



Tragiczny koniec urzędnika kolejowego: Śp. Tomasz Rebik.

Stanowisko rządu wobec postulatów Koła polskiego będzie też miało prawdopodobnie dalsze doniosłe konsekwencye i spowoduje przesilenie gabinetowe.



Fot. N. Lissa, Stryj.

Humanitarna instytucya: Wydział stowarzyszenia „Przyjaciół dzieci" w Stryju, z przewodniczącą p. Konstancyą Lewicką, odznaczoną złotym krzyżem zasługi.

BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

7

— A cóże myślisz o tem?

— Że jednemu więcej delikwentowi skórę wytataruję.

— Hę! A tobie kto za czapkę na uchu?

— Mnie? Juści nie ma komu, bo profos nie kapucyn, aby samego siebie umartwiał...

A że po tego rodzaju dyalogu z Dziurbackim, książę rozchmurzał się zazwyczaj. stąd na profosa spadała jeszcze większa estyma. Najzawziętszy z kapitanów przez szpary na Dziurbackiego sprawki poglądał.

Sprawek zaś tych było ciągle poddostatkiem. Srogi na paradach, inspekcyach i rewiach, zwolennik ładu i subordynacyi, na codzień miał wprost do niej obrzydzenie. Jako profos a więc dozorca aresztu koszarowego, nosił klucz odeń zawsze w kieszeni, lecz drzwi na klucz nie zamykał. W czasach, kiedy rózgami szkołę żołnierza uzupełniano — Dziurbacki siekł okrutnie, ale ławę. Do apelu jak rok długi nie stawiał się, tak że w ostatku przestano go wywoływać. Z koszar o każdej porze dnia i nocy wymykał się. Nic mu nie mówił ani szyldwach, ani służbowy oficer, ani kapitan, ani pułkownik, bo i daremny byłby to trud.

Oczywiście, że Dziurbacki musiał posiadać nietylko sam dowcip, nie tylko owo kaptowanie sobie żołnierzów symulowaniem kar, że tyle powolności i zachowania osiągnął.

Jakoż istotnie, profos miał zalet i zasług, osobliwych niekiedy, ale mnóstwo.

Najpierw, choć nikt nigdy, nawet sam wykaz służbowy, nie wymiarkował, ile lat może mieć Dziurbacki, przecież był niezawodnie najstarszym wiekiem w bateryi i był nadto żołnierzem, nie mającym równego w całem wojsku, gdy szło o wspomnienia, o dawne dzieje. Najsędziwsi nie mogli mu strzymać, bo gdy mu który legionami, on mu Kościuszką, gdy kto o Kościuszce, on mu o barskiej konfederacyi, o porwaniu króla jegomości i dragonach królewskich. Pamięć przy tem wyborna i zażyłość z tymi, co z dawnych jego rówieśników na dygnitarzów i generałów powychodzili, bardziej jeszcze potęgowała urok tych wspomnień.

Lecz i ten urok jeszczeby nie był wyrobił profosowi tych przywilejów, bo śledziennicy mruczeli, że Dziurbacki umiał być i pod Jeną i pod Auerstaedtem równocześnie, że w tym samym dniu i roku raz bronił Gdańska a raz Lipska — raz odbywał kampanię roku dwunastego w piątym korpusie księcia Józefa, a raz w legii nadwiślańskiej— gdyby nie inne talenta. Talentów tych miał profos mnóstwo, sensem zaś tych talentów była sztuka uczynienia się każdemu niezbędnym.

Dziurbacki był balwierzem znakomitym, cyrulikiem, rwał zęby, miał leki na każdą bolączkę, preparował rózne trunki przedziwnej delikatności, umiał piec ciasta, warzyć, smażyć, niczem sławny Tremo, kuchmistrz czwartkowych obiadów. Był snycerzem i cieślą, kołodziejem i szewcem, krawcem i ślusarzem i majstrem na wszystko, z czem sobie kto nie umiał poradzić.

Stąd w bateryi, żeby kto się nie wiem jak zarzekał, musiał do Dziurbackiego wędrować. A niech broń Boże, w drodze, przed paradą, w gorączkowym momencie coś się zepsuło, urwało, złamało, rozdarło — bez profosa nie byłoby ratunku.

Dziurbacki nadto był chętnym, uczynnym, gderał zawsze, mruczał, wyrzekał, lecz byle zdarzyła się robota, choćby bez nadziei wdzięczności, imał się jej z zapałem. W zamian, gdy i na profosa przychodziła kreska i gdy z baterya musiał wlec się, trwać na pozycyi, a jak ostatnio w bitwie się kotować, wówczas profos rzedniał, tracił rezon i zgoła lichym był żołnierzem. Najczęściej zaś, w stanowczej chwili, ginął raptem, zawieruszał się, przepadał. Dopiero, kiedy przy apelu, zaczynano się oń trwożyć i suponować, czyli Dziurbackiemu nieszczęście się nie stało, profos, niby z pod ziemi się jawił. I jawił się z gorącą opowieścią o jakowejś niesłychanej przygodzie, o jakowemś bohaterskiem starciu, które go z ordynku wytrąciło.

A że, czy po rewii, jak niegdy, czy po bitwie, jak teraz, mnóstwo na majsterstwo Dziurbackiego bywało spodziewań, tedy nikt mu nie przeczył. Dziurbacki znów tak żwawo umiał się zakręcić, tak wygodzić i rannym i spragnionym i głodnym, że ani miejsca nie było na wymówkę, na docinek, na niedowierzanie. A jeżeli kto ze złośliwych czy weredyków, pomimo tego sposobność upatrzył, a profosowi wymówił to jego znikanie, — niechybnie pożałował niepolityczności, bo Dziurbacki zawziętym był i urazy łatwo nie zapominał, nie darmo z Kurpiów się wywodził.

Zarzycki więc w nielada był kłopocie, gdy mu pułkownik kazał wezwać Dziurbackiego. Profos bowiem i tym razem umknął i tak, że nawet do apelu się nie stawił.



Profos Dziurbacki.

Lecz z nawyknienia do ślepego posłuszeństwa, Zarzycki podążył do granatnika, za którym profos bateryi wlókł się zazwyczaj, aby akuratnie pułkownikowi nieobecność Dziurbackiego zaraportować.

Przy granatniku, stojącym na krańcu pozycyi, krom szyldwacha, czuwała cała obsługa pod wodzą podporucznika Prószyńskiego.

Zarzycki zameldował rozkaz Bema.

Podporucznik, który jako nowomianowany do bateryi konnej miał samowolę Dziurbackiego na wątrobie, obruszył się.

— Widzisz, acan, że go niema. W mojej komendzie chodzi, lecz pod własnym przewodem!

— Kto idzie?! — rozległ się w oddali głos wysuniętej placówki.

Podporucznik nie zważał na niepokój szyldwachów.

— Z pod ziemi ci Dziurbackiego nie wydobędę. Przyczaił się gdzie w norze i wojuje...

— Jak mam panu pułkownikowi?...

— Jak się acanowi podoba! — uniósł się Prószyński.

— Tój — bo strzelę! — zagroził w oddali chrapliwy głos.

— Baczność! — ostrzegł szyldwach przy granatniku.

Prószyński, a za nim cała gromadka zwróciła się w stronę, kędy na wedecie stał żołnierz z wyciągniętym do strzału pistoletem i mierzył w stronę widniejącej o kilkanaście kroków przed nim postaci.

Postać zatrzymała się, zrzuciła na ziemię dźwigany na plecach tobół i ozwała się gniewnie.

— A ty co sobie, gamoniu jeden, imaginujesz!

— Hasło!

— Bodajś skisł!... Pomacaj no się dobrze a najdziesz miejsce, gdzie ci hasło profosowe wypisałem!

— Dziurbacki!! — zawołano przy granatniku. Prószyński wysforował się ku placówce, aby kres położyć wydziwianiom Dziurbackiego.

— Hej sam! — Przepuścić!

— Skaranie boskie! Własnego profosa, mosanie, krucicą będzie straszył! Akuratnie pan podporucznik! Smarkul jeden. Drugi by poskoczył i dźwigać pomógł!

— Dosyć tam! Służba! Placówka miał prawo! zgromił Prószyński.

— To się wie! — mruczał profos, zbierając porzucony tobół i dźwigając ku wózkom amunicyjnym. — Kto się wyleguje a kto ledwie teraz doczłapać się może po batalii!

— Dziurbacki powinienby sobie przepowiedzieć służbę polową — bo u mnie, w mojej kompanii, musi statek być!!...

— I sprawiedliwie — odparł bez zająknienia profos — rekruta różnego, co ledwie liznął szkoły żołnierza, nalazło się, że niepodobna. Opatrzność pana podporucznika — inaczej mosanie taki szczygieł wypaliłby w łeb rodzonemu profosowi...

— Dowiesz się acan jutro od pułkownika, kto ma racyę!

— Jak pan podporucznik rozkaże, chociaż zawzięty nie jestem. Młodziak nabił sobie głowę hasłem...

— Milcz acan, nie lubię rezonów do milion!!

Dziurbacki uszy stulił i złożywszy dźwigany tobół na ziemi pod wózkiem, jął go rozwiązywać a rozkładać cicho.

Przez chwilę słychać było jeno odgłos energicznych kroków podporucznika i towarzyszące im brząkanie ostrogami. Kanonierzy milczeli wyczekująco. Zarzycki baczył, aby się ozwać do Prószyńskiego a przypomnieć mu rozkaz Bema.

Aż raptem Dziurbacki ozwał się półszeptem — ale tak, że go wokół słychać było.

— Czekalski! Ogniomistrzu! Nie pełnisz służby!? Pomóżże mi, mosanie. Widzisz, dwie flasze siwuchny! Weźmiesz i jak pan podporucznik pozwoli, dasz każdemu... A tu ci, widzisz, maślacz, juści nie na kanonierską gębę. Panu podporucznikowi dasz, bo ja nie śmię. Zekpał mnie sprawiedliwie, bo i któże mógł zgadnąć, że mnie grenadierzy zajęli i że wciągnęli za most do Ostrołęki!... Maślacz tedy dasz panu podporucznikowi. I dasz mu te dwie chorągiewki batalionśkie, com je w pojedynkę zdobył a tu po rotmistrzu huzarskim, com go zwalił, sabeltasz srebrem szyty, pistoleciki nabijane i mentyk! — Uchodzi, aby z tak okrutnej batalii zostało niejakie przypomnienie! — Tako czyniliśmy niegdy pod Marengo i tak pod Friedlandem. Wiesz, mosanie, co to było Marengo? — Nie wiesz, krótko żyjesz!... To sobie zakonotuj, że imć pan generał-wojewoda Dąbrowski arsenał własny miał, bo z każdej potrzeby cóś zachował a coś ode mnie wziął i tak się uskrobało. Ale co pasuje oficerowi, to nie uchodzi ciurze. Nie powiadam ci, ogniomistrzu, abyś ciurą był, jeno byś się nie równał z tem, czego nie sięgniesz. Kalkulujesz sobie, jedna z lup podporucznikowska nie parada dla ogniomistrzowskich obszlegów i kumać byś się rad. A tu, bratku mospanie, gdzie Rzym a gdzie Krym! Ani się obejrzysz, jak ci twojemu panu podporucznikowi szlufy napęcznieją.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Piękny jubileusz.

W początkach bieżącego miesiąca obchodziła w Przemyślu „Kasa zaliczkowa rolników i rzemieślników" czterdziestą rocznicę swego założenia a równocześnie czterdziestoletni jubileusz wydatnej pracy pierwszego prezesa wydziału nadzorczego, Ferdynanda Majerskiego. Założono ją w r. 1869, a rozpoczęła urzędować dnia 2 stycznia 1870. Dyrektorami współczesnymi są pp. Franciszek Giebułtowicz, Józef Jarolim i M. Osiński.

Uroczystość rozpoczęła się solennem nabożeństwem w kościele Serca Jezusowego, które odprawił ks. biskup Fischer, następnie odbyło się w południe uroczyste zebranie w sali kasyna mieszczańskiego, gdzie po sprawozdaniu z czterdziestoletniej działalności kasy nastąpiło wręczenie jubilatowi dyplomu członka honorowego kasy zaliczkowej. Dyplom ten, wykonany nader pięknie, oprawny jest w ramę, rzeźbioną przez artystę p. Bełtowskiego z Nowego Targu.

Działalność kasy w czterdziestoletnim okresie jej istnienia przedstawia się nader dodatnio, dzięki jej poparciu rozwijał się w Przemyślu i okolicy handel i przemysł, który bez łatwego a uczciwego kredytu nie mógłby istnieć w tych ciężkich czasach. Przemyskiej kasie zaliczkowej zawdzięcza wielu rolników i rzemieślników swój dobrobyt, wyrwała ich bowiem z rąk niesumiennych lichwiarzy i dopomogła do ugruntowania samoistnej egzystencyi.



Grób wielkiego pisarza: Wycieczki włościan rosyjskich na grób Tołstoja.

Zgon marszałka powiatu wielickiego.

Bolesną stratę poniosło ziemiaństwo krakowskie przez śmierć śp. Karola Czecza, jednego z najwybitniejszych członków stronnictwa konserwatywnego i szeregu instytucyi, w których był wysoce zasłużonym i nader czynnym pracownikiem i kierownikiem.

Właściciel majątku Bierzanów i Płaszów, od lat dziesięciu był marszałkiem rady powiatowej w Wieliczce i przez dwie kadencye posłem na sejm z wielkiej własności okręgu krakowskiego. Piastował także godność wiceprezesa Towarzystwa rolniczego krakowskiego.

Otaczał go powszechny szacunek, bo był wzorem dla tych wszystkich rodzin, które przybywsz z poza kraju, oddały dzieci swe i wnuki na służbę tej ziemi, na której się zrodziły, pracowitość jego i energia wprawiały w podziw każdego. kto miał sposobność doń się zbliżyć. A dał jej niezliczone dowody, czy to w sejmie, radzie powiatowej, czy też Towarzystwie rolniczem, którego był jednym z najczynniejszych członków. Zasługą jego niemałą było to, że wespół z kilkoma innymi członkami komitetu utrzymywał rolnictwo naszego kraju w ścisłej łączności z rolnictwem całego państwa, brał bowiem udział w licznych ankietach i organizacyach rolniczych. W sejmie galicyjskim ostatnią jego pracą był referat w sprawie Rady kultury krajowej, uchwalony w komisyi agrarnej. Tak tam jak i tutaj liczono się z jego zdaniem, bo miał wszędzie opinię niepośledniego znawcy naszych spraw rolniczych.



Zgon marszałka powiatu wielickiego: Śp. Karol de Lindenwald Czecz.

Zmarł nagle, w sile wieku, okrywając ciężką żałobą stroskaną rodzinę i liczne grono przyjaciół i zwolenników.

Cześć Jego pamięci!



Loterya w Sukiennicach: Oblężenie stolików z fantami przez publiczność podczas loteryi fantowej Koła Pań T. S. L.

Kronika tygodniowa.

W sprawie rydzyńskiej mamy drugą ratę oburzenia. Kiedy przed paru laty doszła wiadomość o układzie, jaki zawarli hrabiowie Antoni Wodzicki i Henryk Potocki z rządem pruskim, mocą którego to układu zrzekali się dochodzenia swych pretensyi do Rydzyny za cztery miliony marek, zaprzepaszczając w ten sposób wspaniały szmat ziemi polskiej, — opinia, reprezentowana przez prasę wszelkiej barwy i wszelkiego formatu (z wyjątkiem „Czasu“ i „Przeglądu“ lwowskiego) przyjęła tę wiadomość z oburzeniem i potępiła zarówno obu hrabiów, jak i ich doradców prawnych pp. Dziembowskiego w Poznaniu i Loewensteina we Lwowie. Oburzenie i potępienie trwało bodaj czy nie cały miesiąc, a może i ze sześć tygodni, aż ustąpiło z trzech naraz powodów. Najważniejszy z nich był ten, że nie jesteśmy przyzwyczajeni zbyt długo trwać w stanie oburzenia — setki przykładów można przytoczyć na to, jak prędko zapominamy o każdej krzywdzie publicznej, jak przebaczamy wszelkie przestępstwa, a nawet nikczemności i zdrady, zwłaszcza tym, dla których fortuna jest łaskawą. Drugi powód zaniku oburzenia tkwił w tem, że inny magnat hr. Tomasz Potocki zgłosił swe prawa do Rydzyny, a więc była nadzieja jej uratowania; powód zaiste śmieszny, bo bez względu na wynik procesu, sam fakt układu, choćby stracił swą moc, nie utracił swej ohydy. Trzecim powodem ugłaskania opinii, była rozpuszczona tendencyjnie bajeczka, iż obaj jaśnie wielmożni sprzedawczycy zobowiązali się całą kwotę, otrzymaną od rządu pruskiego, przeznaczyć na cele publiczne, to znaczy, że rząd pruski zabierając Rydzynę, da cztery miliony na po parcie żywiołu polskiego. Ci, co w to uwierzyli, zapewnili sobie światło wiekuiste, albowiem błogosławieni są ubodzy duchem...

Oburzenie dopiero teraz odezwało się na nowo, kiedy nie tylko hr. Tomasz Potocki przegrał proces, a więc Rydzyna ostatecznie przepadła, ale kiedy jednocześnie okazało się, że do smutnego wyniku tego procesu przyczynili się, jeżeli nie zupełnie, to przeważnie pp. Loewenstein i Dziembowski i ich dostojni mocodawcy. Początek powtórnego zaćmienia wartości obywatelskiej tych panów i jaśnie panów, przypadł przed dziesięciu dniami, środek zaćmienia widzieliśmy przed pięciu dniami, a obecnie zaćmienie się już kończy: tarcze herbowe całej tej czwórki (bo i p. Loewenstein od roku już jest *bene natus*) powracają do dawnego blasku. I znów są ku temu trzy powody. Pierwszy ten sam, co przed paru laty: nasza niemożliwość utrzymania się długo w stanie oburzenia. Drugi rozpuszczona tendencyjnie wieść, że jeszcze jakiś potomek innej linii Sułkowskich będzie swych praw dochodził; wieści tej już zaprzeczył „Kuryer Poznański“. A trzecim powodem ustania oburzenia są pewne „wpływy“ (złośliwi utrzymują, że brzęczące), które już kazały niektórym dziennikom zatrąbić do odwrotu. Jeden z nich twierdzi, że należy powstrzymać się od sądu skorupkowego, bo sprawa się wyjaśni (zastrzega się jednak, że nie zaraz, nie za dni naszego żywota), a jak się wyjaśni, to okaże się, że dotknięci ostracyzmem są bez winy, jak świeżo narodzone dziecię. Drugi z ogranych organów opinii wysłał nawet wywiadywacza (interwiewera) do dra Loewensteina, który na swój honor szlachecki, na niesplamiony klejnot rodziny, wreszcie na „jak mamę kocham“ zaklinał się, że on i p. Dziembowski są nie winni, a obaj hrabiowie jeszcze niewinniejsi, że to wszystko jest brzydka intryga pruska; omal nie przysiągł, że cała czwórka nietylko nie brała udziału w frymarce, ale działała jedynie dla dobra ojczyzny i... jeszcze dołoży do tego interesu.

Mniejsza o te krętactwa. Fakt zostanie faktem, że Ryzyna idzie na kolonizacyę pruską, na czem dwaj polscy panowie zarobią cztery miliony. Są tacy, którzy mówią: lepiej, że choć te miliony wpłyną do kraju, niż gdyby nic nie wpłynęło. Tak argumentujący przypuszczają zapewne, że rząd pruski jest tak głupi, iż mogąc nic nie dać, daje miliony. Rząd ten wiedział dobrze, że sprawa jego zła, a co najmniej niepewna, że ostatecznie mógłby ją przegrać, — a druga strona znów wiedziała, że choć ma wszelkie dane do zwycięstwa, rząd pruski może rzecz przewlekać całe lata, a nawet lat dziesiątki.

Rząd pruski powiedział sobie: lepiej dać kilka milionów, a zagarnąć zaraz olbrzymią ordynacyę, która nawet z rąk wysunąć się może — a druga strona wolała brzęczącą monetę zaraz dla siebie, niż kawał ziemi kiedyś, po latach, dla dzieci lub wnuków.

To była podstawa ugody — i nicby przeciw niej zresztą mieć nie było można, gdyby to była sprawa prywatna, gdyby szło tylko o złoto. Ale tu szło o ziemię ojczystą, o zaprzepaszczenie jej, o wyrzucenie z niej polskiego chłopa, o oddanie jej kolonistom niemieckim, o skurczenie ojczyzny. Ale choć niema słów na potępienie tego frymarku, możemy być spokojni, że zarówno ani jeden jaśnie pan nie usunie się od sprzedawczyków, jak ani jeden mocny w gębie demokrata nie cofnie im swej ręki. Ba! znalazł się nawet już jeden dziennik, który proponuje ugodę między sprzedawczykami a opinią, zupełnie na podobieństwo ugody rydzyńskiej. Dziennik ten pod wpływem wrodzonej i starannie kultywowanej naiwności, proponuje obu hrabiom, aby część otrzymanej z frymarki gotówki przeznaczyli na cele publiczne. Nie będzie to wprawdzie zupełna rehabilitacya, ale pewne odszkodowanie. Dziennik ten rozczula swą wiarę w „obiecankę“ tych panów, a przytem zapom na, że szlachetne cele szlachetnemi należy osiągać środkami. Pieniądze z frymarki rydzyńskiej zbyt śmierdzą, aby nie budziły wstrętu, aby ich miała dotknąć ręka uczciwa. Wreszcie sam pomysł tego „wykupu“ od infamii niech pozostanie przy swych ojcach, aby nie skaził czystości sumienia narodowego.

A sumienie to przemówiło głośno w Kole polskiem. Pierwszy raz od lat wielu widzimy, że koło ostro stanęło w obronie dobra kraju, pierwszy raz nie jest zabawką w rękach ministra skarbu „rodoka“, pierwszy raz ma swoją wolę, czuje swoją odpowiedzialność, jest nawet gotowe przejść do opozycyi. Bo zajmowało ono przez całe ćwierć wieku, jeżeli nie więcej, różne pozycye, ale nigdy nie stanęło w opozycyi. To małe *o* przed pozycyą zdawało się dla niego nie istnieć wcale. Papa rząd głaskał je za to, czasem je nawet pocztiwie pochwalił, ale upominki miał zawsze tylko dla niegrzecznych bębnów. Poco dawać grzecznym (rozumował sobie), kiedy i bez tego są grzeczne. Papa nawet, licząc na ową grzeczność postąpił sobie więcej niż brzydko, bo nie spełnił zaprzysiężonej obietnicy, nie wypłacił prostej, uznanej przez siebie należytości. Wyłudził podstępnie prezenty dla bogatszych a biedniejszego oszukał. I omal że mu to nie uszło, bo do wykonania swych zamiarów użył starego intryganta, który w razie potrzeby wkładał na siebie noszoną niegdyś za młodu w kraju czamarę. A pomocnym mu był głośny blagier i kameleon polityczny przywdziewający maskę przyjaciela ludu. Ale przemówiło sumienie, co lepsze zgrupowało się koło prezesa, usunięto na plan drugi niepewnych — i miejmy nadzieję, że jeżeli, jak zwykle, nie zmiękniemy, to galicyjskie kanały nie będą wrzucone do kanału, odprowadzającego nieczystości wiedeńskie. Choć i tu próbowano zastosować ugodę rydzyńską: chciano gotówką zapłacić za prawa kraju, jednorazowym datkiem zaprzepaścić jego przyszłość ekonomiczną.

Maluczko, a pan Biliński przejdzie całkiem w zasłużony stan spoczynku, z którego oby nigdy nie wyrwał go los zawistny Galicyi. Prócz tego życzenia, każdy c. k. galicyanin, czy wierzy w mądrość „Reformy“ czy „Słowa Polskiego“, czy kocha „Dziennik Polski“ czy „Narodówkę“, czy czerpie wskazówki polityczne z „Wieku Nowego“ czy z „Gońca“, czy śpiewa „Czerwony sztandar“ z „Naprzodem“ czy kantyczki z „Głosem Narodu“, — każdy Galicyanin, powtórzmy, musi się zwracać z najpokorniejszą prośbą do dyrekcyi fabryki ministrów austryackich, aby żaden Polak nie był nigdy ministrem skarbu. Nawet czytelnicy „Czasu“ i wyznawcy „Przeglądu“ gotowi po cichu do tej petycyi się przyłączyć, byle o tem nie dowiedział się który ze starostów lub radca namiestnictwa. Kraj, który widział ministrów skarbu Dunajewskiego, Korytowskiego i Bilińskiego, śmiało może strawestować słowa poety: Dosyć dobrego już nam dałeś Panie!

Ale przejdźmy z wyższej polityki do spraw potocznych. O zawaleniu się Muzeum przemysłowego w Krakowie będzie zapewne osobny artykuł w „Nowościach“. Poprzestaniemy więc tylko na uwadze, że gmach ten prawdopodobnie umyślnie postarał się o tak dotkliwe na swem ciele „obrażenia“, aby zaprotestować przeciw stawianiu go w kącie. Ma to być jeden z gmachów monumentalnych, kosztorys jego wynosi podobno koło pół miliona, — takie zaś gmachy powinno się stawiać na miejscach widocznych, aby były ozdobą miasta. Jast również obawa o zawalenie się pomnika Jagiełły. Gipsowemu koniowi znudziło się patrzeć na barbakan i stać na warcie przy hałaśliwej Akademii sztuk pięknych. Nadzieja, że schudnie, nie ziściła się, owszem zaczął pękać z nadmiaru otyłości. I król Jagiełło, mając już dosyć Krakowa z jego awanturami zimmermanowskiemi, chciał zejść z rumaka, aby się odda lić i nie patrzeć z bólem na fundowaną przez siebie wszechnicę. Ale opiekun jego arch. Zubrzycki sprzeciwił się zamiarom króla i kazał go wraz z koniem odrutować.

Do ważnych wypadków ubiegłego tygodnia zaliczyć należy, że nie przybył naszemu miastu ani jeden nowy bank czeski lub niemiecki. Widocznie, albo już niema komu u nas pożyczać, albo już zabrakło pieniędzy w Wiedniu i Pradze. Ale choćby ta ostatnia całkiem pozbawiła się monety, spotkał ją przecież zaszczyt, który starczy za wszelkie bogactwa. Oto znany, wesoły i gadatliwy muzyk, poeta, malarz, baletnik i dreadnougthciarz, został honorowym doktorem filozofii uniwersytetu niemieckiego w Pradze.

Ten podróżnik i dreadnougthciarz przywodzi na myśl podróż dra Seńkowskiego do Egiptu i przygodę, jaka się zdarzyła z tego powodu jednemu z największych Dreadnougthów naszej floty dziennikarskiej. Doniósł ktoś temu Dreadnougthowi, że dr. Seńkowski, właściciel biura techniki wybuchowej(!) wezwany został do Egiptu, aby pomagać przy rozsadzaniu „przeszkód“ nilowych powyżej drugiej katarakty i... tępić krokodyle. Dreadnougth wydrukował to skwapliwie, a za nim powtórzyły tę „autentyczną wiadomość“ i inne dzienniki. Otóż, o ile nas poinformowano, rzecz miała się nieco inaczej. Władze egipskie zgłosiły się z gorącą prośbą do jednego z redaktorów „Czasu“, aby przybył z „Cracovią“ do Kairu na match footbalowy z „Krokodil-Clubem“. Huk wybuchu radości, jaki nastąpił w „Czasie“ dał się słyszeć w Tow. lekarskiem, gdzie mieszkał znany lekarz dr. Seńkowski. O tym huku dr. S. powiedział pewnemu certyfikatyście mającemu kataraktę, którego brat posiada biuro techniczne i wylewa czasami łzy krokodyle. — Informator Dreadnougtha pomieszał te fakta i wyrosła z tego zabawna mistyfikacya, o której pewnie nie wie dr. S. bawiący z chorym w Egipcie.

Loterya w Sukiennicach.

Ruchliwe „Koło Pań T. S. L.“ urządziło w ubiegłą niedzielę popołudniu wielką loteryę fantową w hali Sukiennic krakowskich, przeznaczając dochód na polskie szkoły, ochronki i czytelnie ludowe na Śląsku austryackim.

Szlachetny cel przedsięwzięcia i mnogość pięknych fantów ściągnęły do obszernej hali Sukiennic ogromne tłumy publiczności. Przy dwunastu, bogato zastawionych fantami stolikach, pełniły obowiązki „gospodyń“ panie z komitetu, a praca ich była bardzo żmudna, publiczność bowiem cisnęła się z wielką bezwzględnością do stolików, tak że w kilku wypadkach musiała interweniować straż bezpieczeństwa, którą reprezentowali strażacy i żołnierze policyjni.

Pomysł urządzenia loteryi fantowej w tak łatwo dostępnem i dobrze położonem miejscu, jak Sukiennice, byłby bardzo dobry, gdyby nie to, iż hala ich jest bardzo wąska. Przy większym natłoku jest komunikacya wewnątrz Sukiennic wprost niemożliwa.

Mimo pewnych stron ujemnych w organizacyi loteryi, publiczność, zwłaszcza ta, której fortuna sprzyjała, opuszczała Sukiennice zupełnie zadowolona, zadowolone też były pracowite „gospodynie“ loteryi, gdyż powiększyły wcale pokaźnie fundusze oświatowe „Koła“.

Nowe ofiary bandytyzmu.

Łudzili się wszyscy ci, którzy przypuszczali, że straszna klęska bandytyzmu w Królestwie polskiem nareszcie wygasła, że fala jego przeszła nad nieszczęsną krainą i minęła, pozostawiając tylko smutne, bolesne wspomnienia, pozostawiając wiele, bardzo wiele mogił. Nie przeszła jeszcze i nie minęła ta okropna klęska. Jeno się ludzie z nią oswoili i tylko wyjątkowe wypadki wywołują większe wrażenie oraz dostają się na szpalty dzienników.



Wybory w Anglii: Afisz wyborczy angielski.

Jednym z takich wypadków był w ubiegłym tygodniu napad na funkcyonaryuszów fabryki „Labor“ w Warszawie, napad dokonany w biały dzień na Pradze z niesłychaną czelnością. W dniu krytycznym kasyer wspomnianej fabryki Tadeusz Grzybowski, jego pomocnik Czesław Tymiński i woźny Kotyński wieźli dorożką jednokonną pieniądze z banku państwowego do kantoru fabryki. Pieniądze były podzielone na dwie paczki: w jednej było 3.100 rb. banknotami, w drugiej 1.900 rb. drobną monetą. Oba worki trzymał na kolanach woźny Kotyński, siedząc na przedniem siedzeniu dorożki i mając naprzeciw kasyera i jego pomocnika.

W chwili, gdy dorożka była w ulicy Ząbkowskiej, wybiegło nagle z różnych stron 9 bandytów, którzy grożąc browningami, zażądali wydania pieniędzy. Jadący odmówili temu żądaniu, nadto p. Tymiński wydobył rewolwer, chcąc się nim bronić. Równocześnie atoli rozległ się huk wystrzałów i zarówno kasyer Grzybowski jak pomocnik Tymiński wypadli na bruk, zalani krwią i ciężko ranni. Wówczas porwali bandyci z rąk woźnego, który przypadkowo wyszedł cało z przygody, oba worki z pieniądzmi i zbiegli.

Huk wystrzałów zaalarmował mieszkańców okolicznych domów, którzy ujrzawszy co się stało, pospieszyli przedewszystkiem z pomocą ciężko rannym, kilka osób zaś puściło się w pogoń za bandytami. Także policya, zawiadomiona o napadzie, rozpoczęła pościg i może uda jej się wpaść na ślad zbrodniarzy, którzy na razie zdołali się ukryć.

Obaj ranni funkcyonaryusze fabryki oddani zostali do lecznicy dra Solmana. Stan kasyera Grzybowskiego jest bardzo ciężki, niemal beznadziejny, natomiast pomocnik kasyera Tymiński ma się względnie dobrze.

Portrety obu ofiar bandytyzmu zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Kapłan-wygnaniec w Krakowie.

W ubiegłym tygodniu przybył do Krakowa wielce dla sprawy katolickiej i narodowej zasłużony kapłan polski, ks. Józef Borodzicz, który z powodów politycznej natury musiał opuścić teren swej dotychczasowej działalności.

Z powodu jakiegoś znaczniejszego konfliktu z władzami cywilnemi, został ks. Borodzicz przesiedlony z Królestwa polskiego do miasta Rybińska, w głębi Rosyi, w guberni Jarosławskiej. Mimo to zdołał ks. Borodzicz na nowem miejscu działalności dokonać wielu doniosłych dzieł, przedewszystkiem doprowadził do skutku budowę wspaniałego kościoła katolickiego w tej miejscowości. Zmuszony wkońcu z różnych powodów, wyjechał obecnie ks. Borodzicz wogóle z granic Cesarstwa i przybył do Krakowa.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy zdjęcie fotograficzne, przedstawiające ks. Józefa Borodzicza w gronie przyjaciół oraz zdjęcie nowego kościoła w Rybińsku.

Grób wielkiego pisarza.

Na pagórku w Jasnej Polanie, wśród dziewięciu dębów spoczęły zwłoki tego, który jak dąb był silny duchem. Zimna mogiła zawarła się nad niemi, z czasem może społeczeństwo o nich zapomni, nieśmiertelnemi przecież zostaną jego dzieła, któremi sze roko wsławił w świecie swe nazwisko. W żałobie narodu rosyjskiego wzięły udział wszystkie cywilizowane ludy Europy, poświęcając zmarłemu mniej lub więcej gorące wspomnienia, jeden tylko Harden w publicznym odczycie, wygłoszonym we Wiedniu, nazwał twórcę „Anny Kareniny“ poprostu i brutalnie głupcem! Harden jednak, ów głośny rewelator w sprawie Eulenburga, jest typem ludzi, którzy skandalów nadużywają jako łatwej drogi zdobycia dla siebie rozgłosu, skandalem bowiem był cały jego odczyt, wygłoszony niemal wobec otwartej trumny, która w każdym razie żąda uszanowania!

A do Jasnej Polany ciągną ustawicznie gromadki wielbicieli Tołstoja i jego talentu, aby na miejscu poświęcić mu wspomnienie i na grobie tego wielkiego myśliciela złożyć bodaj skromny wieniec. Lud rosyjski i młodzież odbywa w to miejsce formalne pielgrzymki, cicha dąbrowa ogląda przedstawicieli wszystkich stanów, jednoczących się u grobu wielkiego męża.

Tymczasem zaś w łonie rodziny zmarłego toczą się spory o ważność jego testamentu, mocą którego prawo własności do dzieł Lwa Tołstoja przypadło w udziale córce jego A. L. hrabiance Tołstojównej. Jak donoszą pisma petersburskie, jedna z firm wydawniczych zaproponowała jej za zrzeczenie się tychże praw milion trzy kroć sto tysięcy rubli odszkodowania, pieniądze mają być jednak na razie złożone w depozycie bankowym, dopóki nie zakończy się spór familijny.

Wybory w Anglii.

Po raz drugi w bieżącym roku toczy się w Anglii namiętna i zaciekła walka o zdobycie parlamentu między dwoma najsilniejszemi stronnictwami angielskiemi, tj. konserwatystami czyli unionistami a liberałami. Ostatnie wybory nie przyniosły żadnemu z tych stronnictw decydującej większości, to też parlament po kilkumiesięcznem trwaniu został rozwiązany, a nowe wybory rozpisane.



Wybory w Anglii: Afisz wyborczy angielski.

Akcya wyborcza jest i tym razem wielce ożywiona, choć nie do tego stopnia, co ostatnim razem. Agitacya odbywa się przy wszelkich sposobnościach i na wszelkich miejscach, przyczem kandydaci nie ograniczają się na urządzaniu masowych zgromadzeń wyborców i wygłaszaniu mów politycznych, lecz uciekają się do najrozmaitszych sposobów i sposobików, byle zwrócić uwagę kół wyborczych na swą kandydaturę i by zachęcić do oddania na nią głosów.

Do tego celu służą olbrzymie, nieraz bardzo dowcipnie ułożone afisze, rozmaitego kształtu tablice, obnoszone lub obwożone po ulicach miast, jak to np. wskazuje jedna z naszych rycin, przedstawiająca dwu giermków na koniach z tablicami, zachęcającemi do głosowania na jakiegoś kandydata. Zamieszczamy też ryciny, przedstawiające dwa dowcipne afisze wyborcze.

Co do wyników nowych wyborów, zakończą się one podobnie jak ostatnim razem, gdyż znowu ani liberali, tj. partya rządowa, ani konserwatyści nie zdobędą decydującej większości.



Wybory w Anglii: Lord Rosebery i premier Asquith na ulicach Manchestru podczas akcyi wyborczej.



Wybory w Anglii: Minister Burns na zgromadzeniu przedwyborczem.

Jubileusz pierwszej niemieckiej kolei.

W dniu 7. grudnia b. r. upłynęło siedmdziesiąt pięć lat od czasu otwarcia pierwszej kolei żelaznej na przestrzeni Fürth — Norymberga. Była to pierwsza kolej żelazna w Europie środkowej. Od tej chwili minęło wiele lat, dziś gęsta sieć szyn pokrywa nie tylko naszą najbardziej cywilizowaną część świata ale rozszerzyła się po całym świecie i dotarła w najodleglejsze zakątki, wpływając nader dodatnio na podniesienie się kultury, handlu i przemysłu.

Właściwymi wynalazcami kolejek byli starożytni Egipcyanie, którzy zaprowadzili je celem ułatwienia dowozu materyałów budowlanych na świątynie i piramidy. W ośmnastym wieku spotykamy je już w Europie, zastosowanie znalazły jednak tylko w kopalniach, gdzie służyły do przewozu surowego materyału do hut i magazynów. Dopiero w r. 1828 założono na stałym lądzie europejskim pierwszą kolej konną celem przewozu osób na przestrzeni pomiędzy Budziejowicami a Kerschbaumem.

Prawie równocześnie, bo w r. 1827., zbudował w Anglii Jerzy Stephenson pierwszą lokomotywę poruszaną zapomocą pary i otworzył regularuy ruch kolejowy między Stocktonem a Darlingtonem. Za przykładem Anglii poszły wkrótce i inne państwa europejskie, jednymi zaś z pierwszych byli Niemcy, którzy już w r. 1835 mieli parową kolej żelazną na przestrzeni pomiędzy Fürth a Norymbergą.

Lokomotywa jej skonstruowaną została według modelu Stephensona. Nazwano ją „der Adler“, ważyła sześć ton, a kosztowała około czternaście tysięcy guldenów. Oddalenie szyn było zupełnie takie same, jak w Anglii i stało się z czasem normalnem dla wszystkich niemieckich linii kolejowych. Zewnętrznym wyglądem przypominała wprawdzie Stephensonowska lokomotywka dzisiejsze kolosy, ciągnące za sobą dziesiątki olbrzymich wagonów, budowa jej była jednak nader filigranową, nie posiadała także ulepszeń, które wprowadzono dopiero z biegiem czasu. Także i wagony osobowe były nader prymitywnie urządzone i dziś nie odpowiedziałyby nawet najskromniejszym wymogom podróżującej publiczności. Pasażerowie trzeciej klasy zajmowali miejsca na platformach bez żadnego nakrycia nad głową, narażeni na wiatr, deszcz i śnieg, wagon drugiej klasy różnił się od tamtego tylko lekkim daszkiem. Jedynie pierwsza klasa miała przedziały zamykane, przypominające nasze karyolki pocztowe o niewielkim rozmiarze i wyścielanych siedzeniach. Rzecz prosta, że ze względu na nader wysokie ceny jazdy, na podróż koleją żelazną mogli sobie pozwolić tylko bardzo zamożni.

Z czasem zniżono ceny jazdy i wprowadzono najrozmaitsze udogodnienia dla podróżujących, dziś niestety wracamy do dawnych stosunków, bilety drożeją coraz bardziej, a wygód coraz mniej!...

Nowy ambasador austryacki w Paryżu.

Ambasadorem austryackim w stolicy Francyi został obecnie mianowany jeden z młodych ale bardzo utalentowanych dyplomatów, hr. Mikołaj Szecsen, dotychczasowy ambasador austryacki w Watykanie. Stanowisko nowe obejmuje hr. Szecsen po zmarłym niedawno ambasadorze Khevenhüllerze.

Mimo iż między Francyą a Austro-Węgrami stosunki są obecnie zupełnie zadowalające, mimo iż oba te mocarstwa nie graniczą ze sobą, jest stanowisko ambasadora w Paryżu bardzo doniosłe, gdyż we Francyi i jej stolicy rozstrzygają się najdonioślejsze kwestye z dziedziny polityki międzynarodowej, w których interwencya przedstawiciela państwa, nawet nie interesowanego bezpośrednio, może być konieczna. Dlatego też do Paryża wysyłają wszystkie rządy tylko bardzo zdolnych i sprytnych dyplomatów, a jednym z takich jest nowy przedstawiciel Austro-Węgier.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 49.

Łamigłówka: Bunt marynarzy w Brazylii.

Zadanie do przestawienia: Pokorne cielę dwie matki ssie.

Szarada: Alegorja.

Arytmograf: Reymont.

Szarada: Napoleon.

Trójkąt magiczny: Euklejdes

Rebus: Przewaga rozsądku nad namiętnością przynosi każdemu zaszczyt.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Myszkowski Sanok, J. Kamocki Warszawa, W. Thun Płock, S. Sygnarska Jasło, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, W. Martynowicz Jordanów, M. Łopatyński Tarnopol, J. Sikorski Warszawa, F. Frankowicz Mińsk, J. Nagel Krosno, J. Nowacki Sanok, H. Wyka Kraków, J. Zachara Sambor, M. Lemiszewska Kołomyja, L. Mnich Łódź, W. Obst Stanisławów, M. Ostersetzer Kołomyja, H. Gawlikowska Kraków, Z. Falkenfied Podgórze, K. Zielińska Kraków, K. Radoszewski Rzeszów, M. Ptaszek Bochnia, J. Jaworski Mielec, S. Ciszewski Kraków, G. Obraczay Zakopane, T. Gryziecka Jordanów, K. Lisowiecki Jasło, R. Wang Rzeszów, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Tarnopol, D. Sedyńska Kraków, J. Hillenbrand Kraków, W. Potocka Lwów, J. Wilczkiewicz Krosno, M. Tymińska Lwów, G. Górski Stanisławów, J. Radoszewski Kolbuszowa, B. Biesiadecki Janów, K. Armatys Ulanów, J. Czarkowski Horodenka, W. Ostrowski Sandomierz, M. Udynowska Piotrków, T. Kwaśniewski Radom, L. Bandrowski Częstochowa, M. Tokarska Jasło, D. Engelberg Rozwadów, M. Rosenbaum Tarnobrzeg, J. Pytlik Rzeszów, G. Holzer Sanok, J. Brzega Zakopane, M. Jaworska Muszyna, T. Gawlik Podgórze, J. Kowalski Sanok, M. Cisek Kołomyja, J. Link Rawa, K. Fedorowicz Czerniowce, K. Kaim Kraków, J. Bohosiewicz Stanisławów, A. Trzeciak Kraków, A. Pankowski Kraków, H. Radziszewski Kołomyja, M. Więckowska Łódź, S. Szymański Warszawa, J. Baziak Tarnów. H. Wałega Krosno, J. Nowacki Jasło, J. Świrski Sanok, H. Kasprzycki Jodłów, M Gródecka Lwów, J. Albrecht Przemyśl. H. Gawor Myślenice, J. Thon Rzeszów, M. Antosz Sanok, J. Barnat Tomaszów, Z. Fiedor Brody, H. Piątek Brody, J. Jahoda Cieszyn, S. Bukowski Kijów, T. Miłaszewski Janów, J. Schmidt Kraków, M. Klappholz Rzeszów, M. Türk Przemyśl, J. Dąbrowski Maków, H Stępień Sanok, J. Wiśniewski Kraków, K. Münnich Lwów, W. Palczyński Tymbark, D. Liskowacki Kraków, H. Wiktor Lwów, M. Zabawska Stanisławów, J. Byliński Tomaszów, Z. Tyszecki Kołomyja, W. Gliński Tarnopol, S. Mildwurm Przemyśl, K. Fuchs Czeremchów, M Serbeńska Budzanów, K. Turecka Tarnopol, M. Weissmann Kołomyja, S. Breier Kołomyja, Br. Weissmanówna Kołomyja.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p **M. Gródecka, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Atrakcyą programu Cyrku „Edison“ od piątku dnia 16 do czwartku dnia 22 bm. będzie obraz p. t. „Poświęcenie Indyanki“. Dramat z dzikiego Zachodu półn. Ameryki grany przez indyjski szczep Siuksów.

Reszta programu składa się przeważnie ze zdjęć o treści humorystycznej.

Tatrzańskie Towarzystwo Narciarzy w Krakowie chcąc ułatwić szerzenie i należyte propagowanie tego pięknego sportu, także poza obrębem Krakowa, zakłada w każdej miejscowości, w której zbierze się przynajmniej 10 członków, koła T T. N. dla których też wydało osobny regulamin. O wszelkie informacye oraz nadsyłanie statutu i regulaminu, należy się zwracać pisemnie do sekretarytu ul; Gołębia 14, usnie u dyżurnych we wtorki i piątki od 6—7 g. w lokalu Towarzystwa przy ul. Kolejowej 4.

Kącik humorystyczny.

Roztargniony.

— Wiesz, zapomniałem na śmierć, w którym mieszkam hotelu! Wiem tylko, że mam pokój nr. 17!

Przeszkoda.

— Gdybym była wiedziała przed tem, że automobile tak wejdą w modę, nie byłabym stanowczo wyszła za mąż za Stefana!

— A to dlaczego?

— Wyobraź sobie, on ma tak odstające uszy, iż nie możemy nigdy jechać pod wiatr!...

Ze świata kobiecego.

Zaczynam niniejszą kronikę od tego, na czem poprzednią chciałam zakończyć, a mianowicie: na sezon karnawałowy, czekający już niemal u progu, szykuje się cały zapas niespodzianek co do toalet pań.

Mimo to, że żyjemy w wieku może zbyt materyalnym i konkretnym — suknie tej zimy mają być zrobione z gazy, iluzyi, przeźroczystej tkaniny, jednem słowem z wszystkiego, a raczej... niczego... co dyskretnie przysłonić ma kształty niewieście. Nie potrzebujemy już zazdrościć opowieściom Szeherezady z tysiąca i jednej nocy, bo gdyby przypadkiem ta czarodziejka arabska weszła wieczorem do salonu paryskiego, wzięłaby za rodaczki swoje wszystkie te panie, które już i obecnie śnią od brylantów, kamieni i najróżnorodniejszych szkiełek, a pokryte są zaledwie dostrzegalną dla oka mgłą, którą dosyć będzie zdmuchnąć, a przypomną się słowa największego naszego wieszcza: „Kobieto! puchu marny!"



Najmodniejsze futro.

Te powiewne gazy i iluzye nie wykluczają bynajmniej solidnych sukien i futrem podbitych długich okryć na ulicy. Przeciwnie.

Eteryczne panie wieczorowe, na ulicy ubierają się poważnie w aksamit, plusz, sukno itp. i niczem nie zdradzają owych rusałek czy świtezianek pląsających, a raczej pływających niby łabędzie po szklanej tafli salonowej.

Z tego też powodu przyjęła się już w Paryżu nazwa tych elegantek: *Madame du jour* i *Madame du soir* w jednej osobie.

Suknia biała balowa składa się z cieniutkiej białej gazy na rozmaitej barwy liberty (dla blondynek na różowej lub lila, dla brunetek na pąsowej lub żółtej). Przybranie sukni i stanika stanowi cieniutka koronka, naszywana suto perłami i szklanemi ozdobami. Suknia dzienna z aksamitu zielonego *(vert de Nil)*, przybrana bogato haftowaną passamanteryą i torsadą. Na staniku spada aż do paska fichu *(Antoinette)* z jasno zielonego atłasu, wspaniały zielony (bardzo ciemny) kapelusz z filcu, uzupełnia tę prześliczną toaletę.

Piękny żywy model (co rzadko się zdarza w Krakowie) widziałam na udatnym bardzo koncercie dyrektora Steibelta, który stanowił dla nas miłą niespodziankę nazajutrz po „żywym dzienniku" mającym chwilami pozory, raczej... nieboszczyka, choć uświetnionym — na afiszu — (szkoda) fejletonem Tetmajera!

Suknia z jedwabnej brokateli koloru Ofelia *feuille morte)* fasonu princesse, objęta w talii dość szerokim paskiem z tej samej materyi, stanik wycięty w *w Coeur*, przybrany dokoła szeroką (na dłoń) zdobną w hafty motywowe koronką, zakończoną u gorsu śliczną, dużą *aigrettą* na pięknem uczesaniu główki *à la Greure*, dyskretnie wpięta wstążka koloru sukni — oto prześliczna, acz nadzwyczaj skromna całość, licująca zupełnie z sympatyczną i pełną prostoty powierzchownością doskonałej solistki, p. Dagmar Paczowskiej, zbierającej słusznie tak huczne oklaski wraz z dziarskim dyrektorem, już to za własny jego piękny utwór, już za wybornie wykształconą drużynę śpiewaczą.



Toaleta żałobna.

W przyszłej kronice podam parę wzorów sukienek dla małych dziewczynek. Nie myślę bowiem pominąć tego najrozkoszniejszego dla mnie światka owych tak słodkich i szczero naiwnych milusińskich, nie znających jeszcze fałszu i obłudy świata!

Tymczasem dzielę się z najświeższemi nowinami pozatoaletowemi, jak bowiem widzicie Szanowne panie, ze zmiany tytułu mojego działu, (do czego po jednej dopiero kronice mam może prawo) pragnę pisać nietylko o fatałaszkach, ale o wszystkiem, co wchodzi w zakres świata kobiecego, nadto chcę odpowiedzieć chętnie na każde Wasze pytanie, już to radą, już doświadczeniem własnem lub kompetentnych osób.

W takich razach wypadnie mi może zetknąć się i z gorszą — przepraszam... chciałam powiedzieć — i z brzydszą połową rodzaju ludzkiego, bez której żadne prawie *resumé* obejść się nie może.

Otóż *la haute nouvetalé* w Paryżu, w piśmie postępowem: *„La Française"*, jest obecnie otworzona ankieta przez głośną autorkę dzieła *„Eve rehabilité"* p. Klarę Galichon, a to w kwestyi spornej co do tego, czy słuszną jest forma językowa, dająca odrębną nazwę kobiecie zamężnej i niezamężnej? Czyby nie było właściwiej wszystkie kobiety, bez względu na wiek ich, stan oraz stanowisko społeczne, tytułować wyrazem: „Pani".

Z licznych odpowiedzi, nadsyłanych ze wszystkich stron świata (z wyjątkiem Galicyi) do ankiety pod tytułem: *„Femme, madame, mademoiselle"* wymieniam dziś parę tylko:

Pani Elżbieta Cordès z Holandyi stanowczo sprzeciwia się nazwie: „panna", jako zbyt bijącej w oczy mężczyźnie, że ta lub tamta panna jest do wzięcia, gdy tymczasem on sam, jak i inni, mężczyźni nie noszą na zewnątrz etykiety: „kawaler", lecz „pan", który to wyraz stosuje się do wszystkich mężczyzn w ogóle. P. Cordès proponuje utworzenie



Toaleta wieczorowa.

ligi międzynarodowej, mającej na celu usunięcie odrębnych nazw dla kobiet zamężnych i niezamężnych wszelkich stanów.

Drugą odpowiedź dała wybitna feministka francuska (założycielka związku siostrzanego kobiet) p. Hamer. W obszernej dyskusyi na ten temat zaznacza ona, że podział nazwy na „Pani" i „Panna" sprzeciwia się najkategoryczniej zasadzie, która dąży do uznania w kobiecie jednostki społecznej poza podporą ramienia męskiego. Tytuł: „Pani" jako coś dostojniejszego, popycha bardzo wiele dziewcząt do stanu małżeńskiego wbrew porywom serca (*à contre coeur*). Tak samo i wyszydzane miano „Starej panny", którego lęka się niejedna, niby widma strasznego, zniewala do zamążpójścia *à tout prix* (jak mówi Francuz).

Ponieważ jest jeszcze wiele trafnych i dowcipnych odpowiedzi, wśród których zabiera głos i mężczyzna — a miejsca już niewiele — podzielę tę porcyę sporną na dwie dozy, dziś zaś zapytuję na zakończenie, czyby i u nas nie należało otworzyć ankiety na ten temat?

Jeżeli tak, to ile uprzejmy p. Redaktor na to się zgodzi, proszę o zgłoszenia, a utworzy się arcyciekawa polemika.

Czy zgoda? W Warszawie kwestya ta również poruszona w pismach. *Warszawianka.*

Krem do zębów

KALODONT

Woda do ust.

Tani dobry pugilares!



Nr. 7202. Z jednego kawałka **mocnej skóry** składany, z 4 przedziałkami, torebką na wizytówki z 3 zamkami, 9 cm. długi, 6 cm. szeroki **K 1·20.** **Lepsze pugilaresy** są na składzie po **K 1·80, 2·—, 2·50** i wyżej. **Bez ryzyka! Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy!** Wysyłkę uskuteczniamy za poprzedniem nadesłan. należytości i 20 hal. na porto, lub za zaliczką.

C. i k. nadw. dosawca **Hanns Konrad,** DOM wysylk. **w Brüx Nr. 3598 (Czechy)**

Katalog główny z przeszło 3000 rycinami wysyłamy na żądanie każdemu **darmo i opłatnie.**



„Laktol“

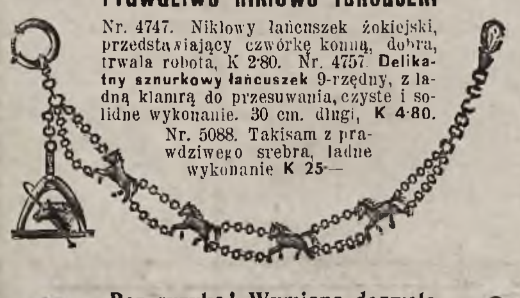
ul. św. Anny l. 4

Mleko „zdrowia“

znakomity środek dyetet., reguluje funkcye żołądka i kiszek, zapobiega obstrukcyi, działa dodatnio na nerwy

Proszek i pastylki laktobac. KEFIR.

Prawdziwe niklowe łańcuszki



Nr. 4747. Niklowy łańcuszek żokiejski, przedstawiający czwórkę konną, dobra, trwała robota, K 2·80. Nr. 4757. **Delikatny sznurkowy łańcuszek** 9-rzędny, z ładną klamrą do przesuwania, czyste i solidne wykonanie. 30 cm. długi, **K 4·80.** Nr. 5088. Takisam z prawdziwego srebra, ładne wykonanie **K 25·—**



Bez ryzyka! Wymiana dozwolona, albo zwrot pieniędzy. Wysyłka za zaliczką, lub za poprzedniem nadesłan. należytości.

C. i k. nadw. dostawca **Hanns Konrad**
Dom wysyłkowy
w Brüx Nr. 3587.
(Czechy).

Katalog główny z przeszło 3000 rycin. wysyłam na żądanie każdemu darmo i opłatnie.

Do Ameryki i Kanady



przeprawia najlepiej

Linia Kunard we Lwowie, ul. Gródecka 99.

Cena przeprawy okrętem 180 Koron. — Uważajcie na Nr. 99.

Odjazd z portu **w Tryeście** **Carpathia**: d. 20 grudnia 1910. **Pannonia**: d. 18 stycznia 1911, **Ultonia**: dnia 17 lutego 1911.

Z Liwerpolu: Lusitania: (największy i najwspanialszy parowiec świata) dnia 17/12, 1910. 7/1, 28/1 1911. **Maurytania**: dnia 21/1, 11/2, 4/3 1911.

Pierwsze europejskie c. k Etablissement wyłącznie patentowanych cyter artystycznych, instrumentów, skład strun i t. d. Skład utensiliów szkolnych i muzycznych. Nakład i wysyłki światowej sławy.

HANS HAUBNER MARIENBAD.



Nowość! Patentowane! Sławne! Według systemu wiolinowego z podziałką, sklepieniem i otworkami, zatem o niezrównanej rezonacyi. Artystycz. Cytry z samouczkiem niemieckim! Użyczam na próbę bez przymusu kupna. Jeśli cytra nie jest nieuregulowaną w tonie, albo jeśli nie można bez pomocy nauczyciela korzystać ze samouczka, słowem jeśli tak jedno jak drugie nie jest prawdziwym cudem, w takim razie przyjmuję towar z powrotem i zwracam pieniądze odwrotnie. Proszę zażądać cennika illustrowanego!

Pierścionki zaręczynowe z 14 karat. złota.



Nr. 6382 grawirowany, z prawdziwym dyamentem K. 15·—, **16·—, 18·—, 20·—**. Nr. 6384 z prawdziwym opalem, wysadzany dyamentami po K. **40·—, 45·—, 50·—** Największy wybór biżuteryi różnego rodzaju w moim katalogu głównym, który zawiera przeszło 3000 odbitek. Wysyłam na żądanie każdemu darmo i opłatnie. Wysyłka za zaliczką. albo za poprzedniem przesłaniem należytości.

C. i k. nadworny jubiler.
HANNS KONRAD
Dom wysyłkowy w Brüx
Nr. 3634 (Czechy).

I-a Jamaika essencya rumowa.

Bez mozołu może każdy zrobić **5 litrów I-a rumu** za **K 1·20**. Z jednej litr. flaszki I-a essencyi likierowej otrzyma każdy 3 l. flaszki likieru jak: **krem allaszowy, chartreux, altvater,** za K 1·20, 3 fl. tylko K 3·— dostarcza, pojedyncze tylko za poprzedniem nadesłan. należytości, od 3 flaszek począwszy za zaliczką, z dokładnym opisem sposobu użycia opłatnie do każdej stacyi pocztowej.

Hitschmanna wyrób essencyi w Humpolcu 64.

Tysiące listów uznania.





Dobra robota to Patent!

ZAKŁAD WŁASNY

Wyrobów ortopedycznych Ludwika Knapińskiego

dostawcy dla c. k. klinik Uniwersytetu Jagiellońsk., c. k. szpitali wojskowych i cywilnych

wykonuje aparaty systemu Hesinga do leczenia skrzywień kręgosłupa i kończyn chorób stawowych, bandaże przepuklinowe, pasy brzuszne, gorsety, pończochy gumowe bez szwu, prostotrzymacze dla dzieci do szkół, nogi sztuczne i szczudła.

Powyższe aparaty i bandaże ściśle są wykonywane według wskazówek WP. Profesorów i Lekarzy i zostały odznaczone na wystawach lekarskich złotymi medalami za przewyższenie dobrocią nietylko wyrobów krajowych, ale i zagranicznych.

Knapiński, Mikołajska 7, Kraków, Telefon 505.

Adres telegramów: Knapinski Kraków.

Atramenty Karmańskiego są najlepsze.

Niedościgły

jest wybór tanich, dobrych przedmiotów użytkowych podarków wszelkiego rodzaju w moim głównym i katalogu obejmującym 3000 wzorów, który się na żądanie każdemu darmo i opłatnie wysyła.

C. i k. nadworny dostawca
HANNS KONRAD
Brüx Nr. 3622 (Czechy).

SINGERA „66“ najnowsza i najdoskonalsza **maszyna do szycia**



SINGERA Maszyny nabyć można li tylko **w naszych składach**

Singer Co. Tow. Akc. Maszyn do szycia

Kraków, ul. Szpitalna L. 40, vis à vis teatru.



Orchestry, elektr. pianina, gramofony sprzedaje najlepsze i najtańsze firma

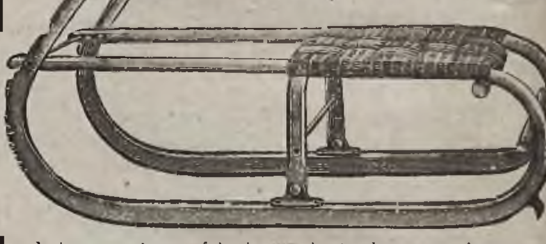
Diego Fuchs

fabryka instrumentów muzycznych i orchestry.

Praga, Václavské nam c. 5.

Cenniki darmo. — Zastępcy wszędzie poszukiwani. Odsprzedającym (Kupcom) wysoki rabat.

Pierwszorzędne saneczki Bobbs, Schi etc.



dostarcza wyłączna fabryka przyborów do sportu zimowego

Val. Jadrnicek'a Syn

Freistadtl N. J. (Morawa). Największa fabryka tej branży na kontynencie. — Proszę zażądać za darmo najnowszy cennik Nr. 14. — Olbrzymi wybór.



Ozdoby na Drzewko jako podarek na Gwiazdkę!

DEKORACYE kompletne do ubrania całego drzewka od Kor. 2·— do Kor. 15·—.

Gwiazdki z Lamety.

Kule szklane, Szklane perły, Aniołki i Lampiony na drzewka.

Świeczniki woskowe i stearynowe.

Dyamentyna i śnieg błyszczący.

Szopki i Stajenki.

Przyrządy do zaświecania i gaszenia.

Reim i Ska

Kraków, Rynek 37

polecają najtaniej

Kalosze rosyjskie i amerykańskie



Mydła, Perfumy, Wody kolońskie i Pudry

krajowe, warszawskie, francuskie i angielskie.



PERFUMY

w eleganckich ozdobnych kasetkach.

Schampoo-Tarool do mycia głowy i przeciw łupieżowi

GŁÓWNY SKŁAD MYDEŁ PRZETŁUSZCZONYCH Malinowskiego z Warszawy.

Wody toaletowe, Szczotki, Lustra, Grzebienie.

SANKI i NARTY dla dorosłych i dzieci **obręcze śniegowe.**

Rogóżki kokosowe, szczotkowe i żelazne.

SIDOL do czyszczenia metali i rzeczy kuchennych.

Magazyn nowości męskich i damskich pod firmą Z. Wojtych & F. Wojas

we Lwowie, ul. Wałowa L. 7.

(Dom dra Bałłabana)

Poleca **Bieliznę męską, kapelusze, obuwie, krawaty** i przybory do podróży.

Kapelusze damskie,

bluski, szlafroki, halki, plaidy i obuwie.



Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

37

CZĘSC II.

I.

Orkiestra w Operze wykonywała marsz weselny z „Lohengrina".

W loży Joego Smitha z przodu siedział Maksym Duret koło Kamilli i pani Radoux, za nimi zaś stał Amerykanin i Julian Maixent. Miliarder przypomniał sobie, że u Lagunanów pierwsza notaryuszowa wspomniała o Ludwice Dubois. Dama ta wyglądała na ciekawą, dobrze poinformowaną i gadatliwą. Może będzie można jeszcze co z niej wydobyć. Lewis Jackson skorzystał też z tego, że grał w pokera z jej mężem i posłał im teraz dwa miejsca do loży Smitha. Państwo Radoux zaczęli łaskawszem okiem spoglądać na Juliana Maixenta. Biedaczysko miał istotnie dobre znajomości.

Marsz weselny kończył się. Kurtyna zwolna się opuszczała. Drzwi loży otworzyły się i wszedł Panajon. Zwrócono się do niego. Złodziej położył palec na ustach i stojąc, słuchał z zachwyconą miną ostatnich tonów orkiestry. Salą teatralną wstrząsły ogłuszające brawa.

— Brawo! brawo! — wołał złodziej, klaszcząc rękami.

Kurtyna podniosła się. Lohengrin i Elza dziękowali publiczności. Gdy kurtyna z powrotem zapadła, Panajon skłonił się przed notaryuszową i Kamillą i witał się z mężczyznami.

— Ach, ten Caruso!...

— Co za głos!...

— Ach, jaka muzyka!...

— Jaka harmonia!...

Panajon pozował na melomana. Nie chciał ucho dzić za człowieka, zajętego wyłącznie interesami. Bogaci i arystokratyczni rodzice Karola Turnera musieli widocznie dać mu staranne wychowanie. Nic nie powinno być mu obcem.

— Ach! jak żałuję, żem się spóźnił! — rzekł.

— Ach! panie — rozległ się głos pani Radoux. — Caruso jest dzisiaj czarujący! Państwo już go słyszeli?

Pytanie to zwrócone było do wszystkich.

— Często! — odpowiedział Maksym Duret.

Nigdy go nie słyszał. Prezes jednak od kilku dni stawał się coraz bardziej roztargnionym. Zdawał się być bardzo zajęty.

— Owszem, kilka razy w Ameryce — odparł Joe Smith.

Julian Maixent zrobił potwierdzający ruch głową.

Panajon nie chciał pozostać w tyle.

— O, tak — odpowiedział. — Śpiewał on u mnie w Melbourne... Było to jedno z *great attractions* przyjęcia, jakie wydałem dla mego starego przyjaciela, prezesa ministrów...

Notaryuszowie patrzyli z coraz większym podziwem na Karola Turnera.

— Mnie głównie chodziło o preludyum — rzekła pani Radoux.

— Ach! preludyum!...

Panajon robił zachwyconą minę.

— Nigdy nie mogłam słuchać go bez łez... — ciągnęła dalej notaryuszowa:

— I ja również! — dodał Panajon.

Złodziej postąpił naprzód i patrzył na salę przez lornetkę.

— Ach, ten dobry markiz... — szeptał. — I młody Garrigue... Ocho! i droga księżna!...

Uśmiechał się i dawał dyskretne znaki, niby do przyjaciół, których dostrzegł.

— Widział mnie ambasador włoski... — mówił dalej. — I baron Rotszyld robi minę, jakby chciał mi coś powiedzieć... Muszę cofnąć się... Mielibyśmy tu masę gości.

Usunął się w głąb loży. Maksm Duret wstał i poszedł za nim.

— Żadnych wiadomości o pani de Lagunan! — rzekł filantrop po cichu na ucho swemu wspólnikowi.

— Do dyabła!... A moje sto tysięcy franków?..

— Jakie sto tysięcy?

— O których mówiłem rano...

— Więc co?

— Coraz bardziej ich potrzebuję.

— Ależ powiedziałem raz na zawsze, że dla mnie niemożebnem...

— Pst!...

Obydwaj mężczyźni przeszli do małego saloniku za lożą, którego drzwi w tej chwili otwierały się. Wszedł Tetard, jaśniejący swą najpiękniejszą liberyą. Niósł złocony koszyk, ozdobiony wstążkami i pełny cukrów i smażonych owoców.

— Są to słodycze, po które posłałem — rzekł Panajon.

Tetard wręczył z namaszczoną miną koszyk swemu panu i cofnął się.

Złodziej wrócił do loży, by ofiarować cukry. Zaczął częstować niemi, gdy drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Raul de Lagunan.

Zaczęły się znowu zachwyty.

— Co za głos!

— Nadzwyczajny!

Potem nastąpiły wyrazy współczucia dla barona.

— Prezes mówił nam, że pani de Lagunan udała się do jednego z sanatoryum dla nerwowych!...

— Ale prędko je opuści?

— Musi się pan czuć bardzo osamotnionym!..

— Ach! — westchnął baron.

Pani Radoux przybrała namaszczoną minę.

— Wyczerpanie nerwowe jest nieuniknione w warunkach, w jakich żyjemy... Za bardzo natężamy swe siły... zwłaszcza głowę...

— Zwłaszcza głowę — powtórzył Raul de Lagunan, pocierając czoło ruchem, pełnym zmęczenia

— Ach! a propos! — rzekł fałszywy Karol Turner, siadając. — Państwo jeszcze nie wiedzą?

— Co takiego? — zapytał Joe Smith.

— Wyniknie wkrótce głośny skandal — opowiadał złodziej.

— Gdzie?

— Jaki skandal?

— Gdzie? — powtórzył Panajon. — W Paryżu... w najlepszem towarzystwie... Jaki skandal! Proszę nie żądać ode mnie wszystkiego... przynajmniej na razie...

Pani Radoux rozwinęła wachlarz ze strusich piór i skromnie się za nim ukryła.

— Och! — mówił złodziej. — Przy opowiadaniu tego nie potrzeba się rumienić... Nie chodzi tu wcale o sprawy miłosne...

— *Well!* Niech więc pan mówi! — rzekł Joe Smith.

— A więc dobrze! Okaże się wkrótce, że ludzie... bardzo znani w towarzystwie... dopuścili się jak najohydniejszego... łajdactwa.

— Łajdactwa, przedstawiającego materyał dla sądów? — zapytał Joe Smith.

— O, tak! Sąd może liczyć na kilka ładnych posiedzeń! Będą się toczyły walki o miejsce w sali sądowej!

Przejęty powagą, notaryusz wyrzekł sentencyonalnie.

— To bolesne! bardzo bolesne!

Maksym Duret stał przy wejściu do małego saloniku i słuchał napozór obojętnie, lecz twarz jego była biała jak gors koszuli. Panajon podał mu koszyczek, który w chwili tej trzymał na kolanach.

— Cukierka, drogi prezesie?

Maksym Duret kiwnął przecząco głową.

— Ananasy w cukrze są doskonałe — zachęcał złodziej.

— Niech mi pan pozwoli! — rzekł Joe Smith.

— Proszę bardzo!

Koszyk przeszedł do rąk Amerykanina. Joe Smith, jak i wszyscy jego rodacy, był wielkim amatorem słodyczy. Co chwila też sięgał ręką do cukrów fałszywego Australczyka.

— *Thank you!*

— Proszę bardzo! *Well!* Na czem stanąłem?

— Mówił pan, że będą walczyli o miejsca w sali sądowej — przypomniała pani Radoux.

— Ach, tak! Będzie to głośna sprawa!... I gdy się pomyśli, że skompromitowani mogli wszystko zatuszować!

— Dlaczego tego nie uczynili?

— Czy ja wiem? Kosztowałoby ich to tylko kilka paczek banknotów...

— Ach! ach! — dziwiła się pani Radoux. — Są więc w rękach wyzyskiwacza?

— Lecz cóż oni zrobili? — zapytał notaryusz.

— Nie może pan powiedzieć ich nazwisk? — odezwał się Joe Smith.

Panajon spojrzał na prezesa. Maksym Duret czuł, jak mu siły ubywają. Oparł się o ścianę loży.

— Czy mam mówić? — spytał się złodziej.

— Prezes więc również wie o tem? — rzekła notaryuszowa.

— Tak dobrze, jak i ja — odparł Panajon.

Oczy wszystkich zwróciły się na Maksyma Dureta, któremu po czole spływał zimny pot.

„Trzyma się bestya dobrze! — pomyślał złodziej, widząc że wspólnik jego nie protestuje. Drży, bym nie powiedział wszystkiego... Spodziewa się, że nie będę śmiał...

Pan Radoux powtarzał:

— To przykre! To przykre!

Notaryusz z zasady nie znosił skandali. Notaryuszowa za przykładem swego męża przybierała bolejącą minę, gdy wspominano o podobnych zajściach. Było to jednak tylko udane. W gruncie rzeczy cieszyła się niezmiernie z każdego skandalu. Zaintrygowana wstępem Karola, Turnera czekała niecierpliwie na koniec historyi.

Joe Smith i Julian Maixent domyślali się dramatu, jaki się przy nich rozgrywa. Ciekawi byli, czy Australczyk wszystko wreszcie wyzna.

Tylko Kamilla i ojciec jej mieli miny, jakby rozmowa ta była dla nich zupełnie obojętna. Baron wieczoru tego miał głowę zajętą interesami. Był w trakcie kupowania dużego wagonu samochodowego, którego cena przewyższała jego środki. — Młodej pannie przy pierwszych słowach o skandalu i wyzyskiwaczu zdawało się, że krew ścina się jej w żyłach w lód. Czuła niewyraźnie, że lada chwila przestępstwo, którego jeszcze nie znała, zostanie wyjawione. Resztkami jednak sił panowała nad sobą. Panajon tymczasem stwierdzał, że prezes słabnie.

„Poci się nieborak... Możnaby powiedzieć, że to student przy egzaminie... Poczekaj, to jeszcze nie koniec... Posuniemy się dalej... Baczność, stary opryszku!..." I zaczął swobodnym głosem:

— A więc mówmy!

Bladość Maksyma Dureta scała się przezroczystą.

— O, tak! — potwierdziła pani Radoux.

— Przykro mi bardzo opowiadać podobną sprawę, zwłaszcza, że bohaterowie jej związani są ściśle ze mną... i z państwem...

— Och! — zawołała notaryuszowa.

Pan Radoux zrobił przygnębioną minę. Dłonie Kamilli zacisnęły się z taką siłą, iż paznokcie jej

weszły w ciało. Baron stał się naraz uważnym. — Julian Maixent i Joe Smith zatamowali oddech.

— Tak, tak... i z państwem — ciągnął dalej Karol Turner. — Nie tak dawno, jak wszyscy ściskali im serdecznie ręce... a w dodatku ściskali ręce i ich wspólnikowi... i jakiemu wspólnikowi! najniebezpieczniejszemu złodziejowi na świecie!...

— Cóż znowu!

— Nie!

— Boże!

— Tak!... Był to przebrany opryszek, który miał pomagać im w ich niecnej robocie...; lecz w takiej robocie, przed którą cofnął się nawet taki skończony kryminalista. Przedstawiali go pod przybranem nazwiskiem swym znajomym i przyjaciołom...

Radość pani Radoux mieszała się z przerażeniem.

— Ależ to straszne!

Panajon przerwał na chwilę i wyciągając rękę, wziął wiśnię smażoną z koszyka, który trzymał Joe Smith. Potem mówił dalej:

— Panajon...

— Panajon? — zdziwił się Raul de Lagunan.

— Kto to jest? — zapytała pani Radoux.

— Właśnie ten kryminalista — odpowiedział złodziej. — A więc ten Panajon...

Nie dokończył zdania. Maksym Duret, którego obserwował z pod oka, zrobił mu ledwie dostrzegalny znak.

Nędznik skapitulował.

— Ach! ta droga markiza grozi mi wachlarzem! — zawołał złodziej, wstając nagle. — Przyrzekłem jej swą wizytę w tym antrakcie! Gdzież ja mam głowę?...

Zrobił przytem ruch, jak gdyby kogoś na widowni przepraszał.

— Ach! panie Turner! — protestowała notaryuszowa. — A pańska historya?

— Jakiż jest jej koniec! — domagał się baron.

— Najmocniej przepraszam, lecz muszę już iść.

I Panajon zaczął rozdawać ukłony na prawo i lewo. Maksym Duret usunął się, by go przepuścić. Mijając go, złodziej mu szepnął:

— Drogi przyjacielu, spotkamy się zaraz u mnie. Musimy pomówić o interesach.

I znikł za drzwiami.

— Panie prezesie — prosiła pani Radoux — pan nam opowie koniec tej historyi...

— Ja?

— Turner mówił, że pan ją zna tak dobrze jak i on — rzekł Joe Smith.

Maksym Duret otarł sobie pot z czoła.

— Tak, ale jest to sprawa dla mnie zbyt przykra, bym mógł o niej swobodnie mówić — odpowiedział.

— Ach! prezesie — zawołała notaryuszowa — jaką niezwykłą delikatnością duszy pan się odznacza!

— A przytem niezupełnie dobrze się czuję...

— Istotnie! Jest pan zielony cały! — potwierdził swym ostrym głosem miliarder, który dotychczas jeszcze się wcale nie odzywał. — Co panu jest?

— Prawdopodobnie przeziębiłem się...

— Niech wuj wróci do domu — poradził baron.

— Zrobię też to zaraz.

I prezes pożegnał się pośpiesznie z Joem Smithem i jego gośćmi.

W dziesięć minut potem był już na ulicy Boissy d'Anglas i dzwonił do drzwi Panajona.

— Ach! szubrawiec! — rozmyślał. — Jaki zuchwały! Winienem był już się go pozbyć. Lecz kto mógł to przewidzieć. Wczoraj jeszcze był mi bardzo użyteczny. Może być nim jeszcze i jutro.— A ja znosiłem cierpliwie jego zniewagi i wymagania. Ponieważ jednak staje się on bardziej niebezpiecznym niż pożytecznym, nie zwlekajmy więc z tem, com już dawno postanowił. Stoma tysiąca mi franków kupiłbym sobie jego milczenie przynajmniej na kilka dni. Za wysoka jednak byłaby to cena...“

Panajon był w swym małym salonie. Nie skończył jeszcze papierosa, zapalonego po powrocie, gdy Tetard wprowadzał filantropa.

— Ach! ach! papa Troppmann! — rzekł złodziej. — Widzisz, że nie zawsze jest dobrze żartować ze mną!

Podszedł do nędznika i poklepał go po ramieniu, dodając:

— Wszystko jednak dobre, co się dobrze kończy! Masz swą książeczkę czekową?

— Książeczkę czekową?

— No, naturalnie! Po coś tu przyszedł? Nie spodziewam się, byś zjawił się bez czeku na sto tysięcy?... Nie?... A więc daję ci, mój stary, jedną radę: jedź natychmiast do Neuilly po czek... Nie chcę o niczem słyszeć, dopóki nie będę go miał w kieszeni...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył W. Rapacz, Żarki

— Kasiu! Zbieraj! przynieś tackę
Bo pójdziemy na przechadzkę!
— Teraz późno, a do tego
Trzeci mamy! Tak ciemnego
Dawno nie było wieczora.
— Oj, joj! Bój się, zje cię zmora,
Albo *drugie pierwsze* inne!
— Ależ, takieście dziecinne
Druga podwójna powiada:
W *całości* to nie wypada.

Zagadka przysłowiowa.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z każdego z umieszczonych poniżej przysłów wyjąć po jednej zgłosce i utworzyć z nich nowe przysłowie:

1. Dał ci Bóg dary, używajże miary.
2. Kto jeździ na leki, przepadnie na wieki.
3. Kazał pan, musiał sam.
4. Co drogie, to miłe; co tanie, to zgniłe.
5. Niema gadu bez jadu.
6. Co komu dolega, tego nikt nie czuje.
7. Kto pannje, traci wolność.
8. Kowal nie ukuje, czego natura nie dała.
9. Bogatemu zawsze święto.
10. Kto długo lega, tego chleb odbiega.

Łamigłówka.

Ułożył L. Feilschuss, Lwów.

Z każdego z podanych niżej wyrazów wyjąć po dwie obok siebie stojące głoski i ułożyć z nich nazwisko jednej z polskich gazet:

Winogrona, owoce, kościół, Iiola, Alleluja, Stanisław, barometr, trawa, aneksya.

Logogryf.

Ułożył J. Badura, Roździeń.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby rząd środkowy, czytany z góry na dół, dał imię i nazwisko polskiego poety.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — — □ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka w Afryce 3. Bajeczny założyciel państwa asyryjskiego. 4. Stowarzyszenie. 5. Miasto w Grecyi. 6. Zaimek. 7. Zaimek 8 Część ciała. 9. Zwierz drapieżny z rodziny kotów. 10 Zwierzęta drapieżne z rodziny jaszczurek. 11. Broń palna.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Tuła, Pac, otucha, Inn, ona.

Szarada.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Pierwszą z trzecią bywają drzewa otoczone,
Druga z trzecią ubranie nasze przyozdabia.
W całości przechowuje wieśniak zgromadzone
Zapasy, które sobie skrzętnie przysposabia.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył R. Wittig, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Jeż, bzik, mowa, luba, ozon.

Trójkąt magiczny.

Ułożyła H. Dorożyńska, Niżborg Nowy.

Kwadraty i kreski zastąpione odpowiednio literami utworzą szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, poda nam nazwisko jednego z kraju Europy.

□
□ —
□ — —
□ — — —
□ — — — —
□ — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzecz znana w pszczelnictwie. 3 Zwierzę domowe. 4. Inaczej miecz. 5. Rzeka w Rosyi. 6. Półwysep w Europie. 7. Wodospad. 8. Imię żeńskie.

Szarada.

Ułożył M. Cz., Podłęże.

Dość widzisz wśród ptaków swojskich *trzecie — czwarte,*
Samo *czwarte* coś znaczy, jeśli nie podarte,
Pierwsze z drugiem to napój dla ciebie i gości
A *całość*, choć nie całość, a jednak w całości.

Szarada.

Ułożył M. Kopacz, Jodłowa.

Pierwsze i trzecie są znamieniem siły,
Drugie i trzecie wozy poznaczyły,
Trzecie i pierwsze przysmak szabasowy
Całość, król dzielny i roztropnej głowy.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Majora Drianta:* **Balonem do bieguna północnego.** Powieść fantastyczna

Właściciel, wydawca i redaktor odpow. ... Stanisław Lipiński ... z własnego nakładu ... Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie